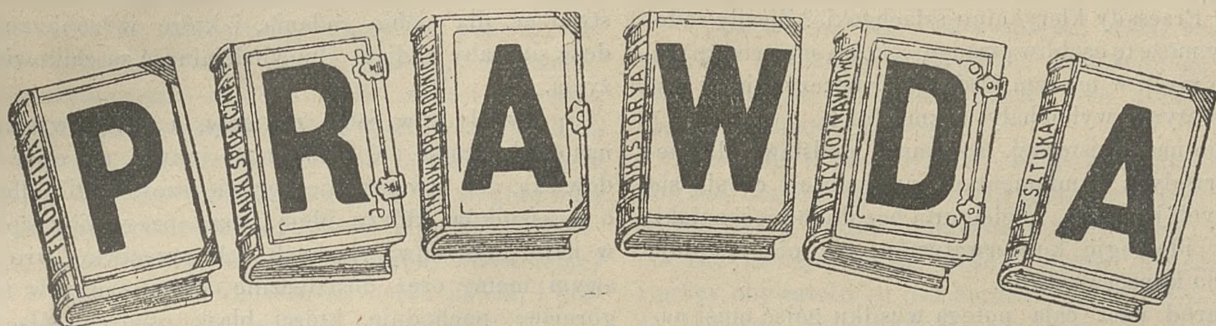
Nr 12 (1575). Warszawa, 25 marca 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwartał drugi.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ozimina.

W krajach wolnych, rozwijających się swobodnie pod względem narodowym, społecznym i kulturalnym, stoi na straży potrzeb zbiorowych olbrzymi mechanizm państwowy, dający oparcie usiłowaniom jednostek. Interes państwowy, w znacznym stopniu, streszcza tam sumę interesów społecznych ogółu; jeśli, w chwili obecnej zgodność zupełna między tymi dwoma kierunkami nie jest jeszcze osiągnięta, to, w każdym razie, ewolucja życia współczesnego zmierza po linji coraz ściślejszego ich uzgodnienia.

Prócz tego, w krajach, które same sobą rządzą, pokłady nagromadzonej wiekami pracy, w postaci instytucji, urządzeń publicznych, zbiorów, muzeów, bibljotek, dają możność pokoleniom dzisiejszym korzystać z całego ogromu spuścizny dziejowej, snuć przędzę dążeń nowoczesnych z wątka wiekowego rozwoju, na podstawie uprzednio zagospodarowanych terenów.

My, Polacy, pozbawieni jesteśmy obu tych czynników społecznej i narodowej potęgi. Przewagę sił państwowych mamy nie za sobą, ale przeciwko sobie. Nie tylko nie daje nam ona podstawy dla organizowania energji zbiorowej, ale jeszcze brzemieniem ucisku ciążąc na każdym ruchu i na każdej naszej inicjatywie, przygniata głowy i barki nasze ku ziemi, zwężając horyzont widzenia i tamując oddech.

Instytucje zaś nasze, niestety, bywają tylko efemerydami. Nie mogą wrość głęboko w grunt historji, nie mogą wytworzyć dokoła siebie przeświadczenia o niezbędnej konieczności swego bytu i swego rozwoju. Zaledwie, powołane do życia, ustalą łożysko swej działalności, już zaczynają się chwiać, już ubożeją, chromają, podcięte obojętnością ogółu — i giną. Niekiedy giną śmiercią gwałtowną. Po roku 31-ym, 63-ym, 1907-ym padały ofiarą wzmożonej reakcji politycznej całe szeregi organizacji kulturalnych, szkół, stowarzyszeń oświatowych, książnic, związków zawodowych, artystycznych, ba! nawet — gimnastycznych.

Tysiące oczu bezsennych czuwa w takich okresach, aby nie dopuścić do wskrzeszenia jednej uczelni, natomiast jedno niekiedy złe spojrzenie podejrzliwego oka wystarcza, aby zabić 2 albo 3 tysiące szkół elementarnych w kraju.

Potrzykroć, w ciągu jednego stulecia, szły wniwecz plony najszlachetniejszych wysiłków narodu.

Trzy krwawe bruzdy przeryły ogniem i żelazem ubogi łan naszej ojcowizny. Innym narodom wieki minione przekazują dostatek i szczęście, wolność, oświatę, dobrobyt. Nam przeszłość najbliższa nic dać nie może, prócz obrazu pobojowisk, w które krew poległych wsiąkała razem z nadzieją żywych. Dla innych przeszłość może być snem złotym; dla nas bywa — dręczącą marą i wyrzutem.

Przeszłość nasza to — rany krwawiące, to ból upokorzenia i klęski; ów tragizm przeszłości sprowadza przekleństwo na wszystkie obozy społeczne, które chcą na niej się opierać: nigdzie konserwatyzm nie jest kierunkiem tak jałowym i niedorzecznym, jak w Polsce. Z ruin przeszłości naszej wykwitać może poezja, marzenie, pieśń, ale rzeczywistego programu działania wysnuć z niej niepodobna. Konserwatysta angielski wie, czego broni i co ochrania, bo przedewszystkim ma co konserwować, ma co chronić: chce przechować i utrzymać to, co doprowadziło go do potęgi, co dało narodowi jego obecne znaczenie. Ale zachowawca polski imieniem chwili dzisiejszej błogo-

sławić przeszłości nie może; jeżeli wszelkie zjawiska mają swe przyczyny sprawcze i tkwią korzeniami w zjawiskach poprzednich, to teraźniejszość nasza wystawia jak najsmutniejsze świadectwo naszej przeszłości. Cóż tedy konserwatysta polski będzie konserwował? Przesądy klerykalno szlacheckie? Zjazdy rodowe? Czy może tę osobliwą tradycję, która sprawia, że największe myśli w naszym kraju gasły bezczynnie, a największe czyny wybuchały bezmyślnie?

Nie mając istotnej, rozumnej podstawy dla siebie w trwałych fundamentach przeszłości, czepia się on pustych jej form, pielęgnuje bezpłodne jej majaki, posiada ideologję konserwatyzmu, ale nie znajduje rzeczy do konserwowania.

Naród nasz całą potęgą wysiłku pójść musi naprzód; jedynie dziedzina jego zadań jest prawdziwą dziedziną jego życia. Przeszłość nasza jest podwójnie martwą: raz, że minęła; powtóre, że nas wtrąciła w ruinę. Przyszłość natomiast w dwójnasób niechże będzie żywotna: tym, że się iści, i że się iści w nas.

Nie tajne są nam przeszkody, jakie nas na drogach naszych czekają. Nić organizacji zbiorowej życia społecznego rwie się u nas co lat kilkadziesiąt; każde więc niemal pokolenie, obejmując po swych poprzednikach zgliszcza pożarne, rozpoczynać musi budowę życia od podstaw, od murowania podwalin.

Ale czyż przeto mamy budowania zaniechać?

Wiemy: pogorzel lat ostatnich przegryza jeszcze dymem nasze oczy; życie nasze, być może, całe upłynie w troskach elementarnych o pierwsze, najprostsze potrzeby ludu. Ale i to wiemy, że ręce nasze nie omdleją przy pracy; duch nasz i ramiona nasze wytężą się do najwyższych granic wysiłku, w przeświadczeniu, że na nich leży wyłącznie ciężar zadań rozwojowych; wielkie bowiem są obowiązki tych, którzy potrafją więcej nad innych widzieć. My, postępowcy, swe przodownictwo społeczne rozumiemy, jako przywilej zdwojonego udziału w pracy nad podniesieniem narodu i spotęgowanej zań odpowiedzialności.

W życiu zbiorowym przetrwać zdołają tylko te żywioły, które umieją przed sobą spiętrzać pracę, stwarzać dla siebie zadania, i które w sobie znajdą dość siły, aby podjąć odpowiedzialność za całkowitość życia.

My siły te w sobie czujemy, i nie powstrzyma nas od działania ani obojętność innych, ani opór środowiska, ani otwarta niechęć większości. Nie dbamy o sojuszników, którzy ideję naszą pragnęliby wpleść w koło interesów własnych. A przeciwko wrogom swym mamy oręż dostatecznie silny: mamy w ręku gorejącą pochodnię, której blask oświeca całą ich nędzę duchową, ubóstwo myśli, małość charakterów i poziomość pragnień.

Dlatego to kler pragnie jaknajdłużej ciemność utrzymać nad krajem; sam kryje się w cień głęboki, organizując kadry ciemnoty, aby roztopić w niej niepostrzeżenie swoje czarne postaci, i w poniżeniu czołga się u stopy rządowej, aby wyżebrać odsunięcie choć jednej kropli wiedzy od ust spragnionych ludu.

Kler jest fanatykiem ciemnoty i zastoju: tym wyżej przeto my wznośmy swe pochodnie, aby rozświetlić ciemność! tym pilniej niećmy ruch, aby rozedrzeć martwotę!

Arystokracja jest samolubna, nieczuła i tępa: ogarnijmyż więc my w ramiona swe całą niedolę narodu!

Zmaterjalizowane i skąpe jest mieszczaństwo: bądźmy więc my ofiarni i hojni na potrzeby społeczne.

Ta garść ideowców, jaka dokoła nas się skupia, wierzy w swe zwycięztwo, bo ufa w siły narodu. Zwycięztwo atoli dokona się nie przez pozyskanie, w granicach pokolenia współczesnego, szerokich żywiołów

---

3)

A. BIEŁYJ.

KRZAK.

Przełożył z upoważnienia autora

Kazimierz Wroczyński.

Suchym jest burzan kolczasty — nie tul się doń — wbije ci się w ciało dziesiątkami kolców aż do krzyku bolesnego — suchym jest burzan kolczasty! Lecz stokroć straszniejszym jest burzan, gdy księżyc na niebo wypełźnie jak gruba czerwona ropucha z burzanu. Czyżeś nigdy nie widział jego pałkowatych korzeni, czy niewiesz jakie bezpamiętne dzikie szepty rwą się po burzanie. — I przytulając się bezwstydnie tak a klująco do piersi durnego — pocóż ach! pocóż podsłuchały burzany myśli jego tajemne i po wietrze lotnym rozwiały. Trzepotały się teraz na wiatrach dumy tajemne, płakały teraz nad nimi chmury rzęsnymi łzami — — — płakały o tych więzach cichych, wiernych a skuwających pętami słów prawiecznych, słów potwora pana tych miejsc. Nie znajdzie swej duszy, nie stanie się żywym ten, kto dolą zgnębiony — duszy pozbawiony. I oto woła, oto zawołaniem zwie nas pustkowie chłodne na bój z potworem — Hej — z piersią rwaną łkaniem runiemy w walkę! Bądź, co ma być! I niech powrotu nie będzie z drogi przeznaczenia. (Ej! wstrzymaj się serce — błagam cię — mówię ci!). Ach pocóż mówić — poco wstrzymywać się, jeżeli na drodze potwór stoi uroczny, a dusza w niewolę wzięta. Niech urzeczona dusza nie błaga o wolność, niech będzie nawet zakochaną nad wszelki wyraz — i cóż z tego? Słodko jest walczyć o swoją duszę, słodko jest wyrwać ją, wyrwać śmierci swą nieśmiertelność. Boże! tam nad piaszczystym jarem, tam gdzie w księżycu wszystko w obwodach trwa własnej cieni, gdzie wszystko tak straszliwie i tak wyraźnym ryczy śmiechem, gdzie strachem się szczerzą niezgłębione dale, — dziwnie tak błogo było łkać w głos Iwasiowi. Maleńki oset wywinął się z sykiem z poza kamienia, pochwiał się samotny, szary, kolczasty, smętnie rozpluskany w księżycowym srebrze. I niewiedział nawet z czego płacz ten, za czym łzy gorzkie płyną, — pochwiał się i nad zboczem pochylił caluteńki, jak nad strumykiem.

Podówczas to tłuc się poczęły po burzanie plotki a szepty. Oj! nie tul Iwasiu traw — wielolatków, skłują ci całe ciało bolesnymi zadrami, bo suchym jest, niewiernym jest burzan.

I podówczas to nieraz różności widywał Iwaś: jakie to pieszczoty liściaste były pomiędzy krzakiem a zorzą. A i szatki bogate miewała ona: zachód malinowy lub dymny, albo li też żółty, kanarkowy. Dzień w dzień zorza młódka inny na się wkładała zachód.

społecznych, ale przez podbój przyszłości, której ziarna, przez nas rzucone, wzejdą w duszach naszych następców. Tam, w kierunku przyszłości, leżą niezmierzone obszary naszych zdobyczy i tryumfów. Tam, przedewszystkim spoczywają olbrzymie, prawie nietknięte kulturą, obszary gleby ludowej. Ku tamtej stronie wybiegają wszystkie myśli nasze i wszystkie nadzieje, rodząc prastarą wizję Polski ludowej. Tam też skierować się winny wszelkie nasze usiłowania i prace. Wszyscy zgadzamy się na to, że „lud nasz jest głównym materjałem, (słowa Al. Świętochowskiego) z którego może być stworzony nieistniejący dotąd w znaczeniu nowoczesnym naród polski, i który może zbudować jego pożądaną przyszłość”[1]).

Słowa te nie są przesadą jakiegoś chłopomaństwa. „Ani zadaniom naszego bytu, ani wymaganiom, jakie zorganizowanej zbiorowości ludzkiej stawia dziś nowoczesność, samymi siłami szczupłej inteligencji podołać nie możemy. Potrzeba te siły odświeżyć, tymbardziej, że w naszym ludzie tkwią wielkie moce, wielkie uzdolnienia, które potrzeba tylko wyzwolić z kajdan ciemnoty i nędzy, ażeby się objawiły wspaniale i wzięły czynny udział we wszystkich kierunkach naszej kultury. Jest to faktem, z którym spierać się nie można, i którego nie usunie żadna sofistyka, że niezależnie od warunków zewnętrznych, dziś mogą się utrzymać w walce o byt tylko społeczeństwa istotnie zdemokratyzowane. Taki jest niezłomny wyrok rozwoju, od którego daremnie odwoływałyby się do potęg ziemi i nieba wszelkie przeżytkowe pretensje”.[2])

„Naród polski może zmartwychwstać i oprzeć się zwycięsko dalszym przeciw niemu zamachom tylko zapomocą przeistoczenia się na ludowy, czyli za pomocą pogłębienia i zdemokratyzowania swej kultury. Wszystkie inne drogi i sposoby są tylko hazardowną grą, lotem bujnej wyobraźni, lub poprostu śmieszną spekulacją naiwności”. [3])

„Cała nasza polityka w obecnej dobie winna się zamykać w pracach i dążeniach kulturalnych. Poza nimi rozciąga się głucha pustka, lub zaczyna sfera niebezpiecznych awantur.” [4])

Istnieje w naszym życiu zbiorowym taki bezmiar potrzeb, braków, opóźnień, zaległości, tyle jego ognisk ledwie tli się, grożąc zupełnym zagaśnięciem, że wybór najważniejszych kierunków i celów dla ofiarności i pracy obywatelskiej jest bardzo trudny. Jeśli wszakże rozmaite niedostatki rozważymy ze stanowiska ogólno-narodowego, to przyznać musimy, że najdotkliwsze są te, które dotyczą materjalnego i duchowego sieroctwa ludu. Dopóki bowiem mamy w Królestwie Polskim około 7 miljonów surowej ludności ciemnej, bezradnej, nie umiejącej wziąć udziału w życiu społecznym, niezdolnej nawet wyzyskać należycie swej pracy, dopóty nie mamy nowoczesnego narodu, któryby rozwinął wielką energję czynną i obronną.

Najdonioślejszym przeto przedsięwzięciem narodowo-społecznym jest niewątpliwie zakładanie, w chwili obecnej, szkół dla ludu wiejskiego, a zwłaszcza niższych szkół gospodarczo-rolniczych.

„Brzmi to może paradoksalnie, ale jest rzetelną prawdą życia twierdzenie, że szkoły te posiadają dla nas większą wartość, niż nawet wyższe instytucje naukowe”. [5])

[1]) P. „Ofiarność obywatelska”, str. 18.

[2]) Tamże.

[3]) Tam-że.

[4]) Tam że.

[5]) Tam-że, str. 22.

Przychodziła na zwące gałęzi gesty. A jakże nieraz ją cudną w wilgotne noce torturowały mękami kochliwymi trędowate szpary krzaczastych ślepi,—a czyż nie dla niej to rumianej pod szyszką nosową szerzyła się gęba spróchniałej dzupli! A jeżeli by czasem zachciała przejść się po pustkowiu, tuż — tuż za nią suplasta ręka lubieżnie ciągnąca się przez grudy zielonym szeptem syczała. A ona — wyrywała tymczasem z ziemi korzonki, bieluteńko wymywała, suchuteńko wycierała, miełła i mlewem wsypanym w miodową czarkę częstowała krzak.

Czasem wiadrem, które rdza w piaskach żarła, czerpała strugę srebrną, — wtedy krzak z pod kamienia wyciągał samowar i caluteniecząką noc zapijali się herbatą, caluteńką noc wiosenną. Jesienią rzadziej przychodziła a na krótko. Zimą na obnażonych krzaka ramionach, pod ryki jego gniewne, pod stukot gałęzi szlochała za wolnością.

Raz, gdy się Iwaś gnębił myślami, w pustkowie przykulała szkapinka, cała w muchach, siwa zjadaczka kwiatków, — przytuliła się ciepłymi nozdrzami do Iwasia, i precz odeń podreptała na spętanych nogach. Jakby kłaniała się wzywając za sobą durnego, — boć nawet jej bydlęciu urocznemu od łkań jego zachciało się duszy ukochanej. Szedł, szedł Iwaś za urocznym bydlątkiem, aż tam zaszedł skąd widać już było dach chaty ogrodnika, a tu, właśnie tu, zorza zwykle gasła, bladła. Gawrony, oblepiając sękate ręce wierzb, snuły się tu czarnymi wirami.

Spotkała go córka ogrodnika. Schylona szła ku domowi; złotą swą w białych fijołkach główkę uniosła, z pod czoła mimowolnie spojrzała na durnego i skromnym, łagodnym wejrzeniem — zatorturowała. Kłos ostrymi ząbkami gryzła. Uśmiechem skrytym rozfalowała Iwasia oślepiającą żądzą, uśmiechnęła się w rozmarzeniu, choć stężone były łuki brwi sobolowych nad fijołkami — oczyma — ściągnięte były i ostro i okrutnie — — świadomość jej bezlitosna na serce jego ślepnące bluznęła władczo cierpkim winem; a on, storturowany powabem runął na ziemię palić pocałunkami jej nóżki białe, chłodne od ros, obwijać rękoma jej prężne kolana skryte pod purpurą — Aa! — zginąć to zginąć — — przepaść to przepaść! — —

Potrząsnął głową, blond kędziorami i w tył podany wpił się spojrzeniem w jej wstydliwe, rumieniące się liczka. Nagle — zapłoniły się niewymownie jagody, przejrzewającą udręką zadyszały, na niego jakby chlusnęła fala namiętnego czadu — a błękitne węgle – oczy, płonęły lśniące, rozwarte, a nad ócz błękitami chmurzyły się brwi czarne. Kłosem w ręce zatrzepotała, zamachnęła się nań, uroniła lica w dłonie i wskroś palce białe zalśniły łzy kryształowe, a od łkań niepowstrzymanych wstrząsały się porywczo szerokie ramiona. I cała płaczem załosnym zakwitła.

— „Duszo moja! w niewolę wzięta duszo moja. Serce me boli duszo za tobą, mrze — zaprawdę spłynie ono strumieniem krwi ciemnej i ja nieszczęsny z pękniętym sercem legnę u stóp twych, cudna moja! A byłabyś ty ze mną, gdyby wróg prawieczny nie rozłączył nas na długie czasy. On to, on to, zniena-

Te ostatnie bowiem wypuszczają corocznie pewną ilość specjalistów (adwokatów, lekarzy, inżynierów i t. d.), którzy bezsprzecznie pomnażają kapitał wiedzy czynnej i podnoszą sprawność kulturalną ogółu, ale nie wywierają szerokiego wpływu na swoje najbliższe otoczenie i zwykle zużywają swe siły na korzyść karjery osobistej. Tymczasem każdy ukształcony chłop promieniuje mocno w sferze swych stosunków, jest nietylko w niej rozumniejszą jednostką, ale przewodnikiem, reformatorem, ogniskiem dobroczynnego światła.

Dotąd podjęto szereg zorganizowanych starań o gospodarcze kształcenie ludu; otwarto kilka szkół stałych i kursów czasowych. Wszelako to, co uczyniono dotychczas jest zaledwie spiętrzeniem garstek ziemi tam, gdzie usypać trzeba wielką górę.

Gorącemu tedy poparciu i opiece życzliwej tych wszystkich, którzy własnymi siłami pragną budować ojczyznę, polecamy trzy niesłychanie doniosłe placówki oświaty ludowej, polecamy je przedewszystkim, jako zwalczane przez obozy wsteczne. Są to:

1) Kursy praktyczne dla dziewcząt wiejskich w Kruszynku;

2) Szkoła gospodarczo-rolnicza dla chłopców wiejskich w Sokołówku;

3) Ferma dla dziewcząt włościańskich w Gołotczyźnie, kształcąca uczenice we wszystkich działach gospodarstwa wiejskiego za pomocą zajęć praktycznych i łącznych z nimi wykładów teoretycznych.

Oto trzy odosobnione i wątłe płomyki, które rozdmuchać, rozpalić należy w olbrzymie ogniska. Ich cel i zadania większe są niżli wielkie, ale, niestety, środki, którymi rozporządzać mogą, mniejsze są, niżli skromne. A przecież, mimo ubóstwo środków, mimo krótkość trwania, owoce ich działalności już są niebywale świetne. Ktokolwiek miał możność obcować, choćby przez krótką chwilę, z wychowańcami tych szkół, ten doznać musiał wrażenia radosnej otuchy na widok kipiącej w nich potęgi życia, gotowości do czynu i spokojnie tężejącej woli. Kto raz był w Sokołówku, ten nigdy godziny pobytu swego nie zapomni. Będzie wracał ku niej duszą i tęsknotą, jak wraca się w krainę swej młodości. Pozna on, albo raczej instynktem wyczuje, że razem z pokoleniem tym dojrzewa nowa, nieznana, nieugięta siła, że to wyrasta i dźwiga się jakoby z pod ziemi mur ludzkich piersi, żywy szaniec hartu, wytrwania i męztwa, o który roztrącić się muszą wszelkie lawiny nieszczęść.

Wyczerpane krwawym wysiłkiem rewolucji, rozbite klęską lat ostatnich, życie nasze narodowe jakgdyby załamało się nagle w sobie, zgłuchło pod ziemią, zastygając w długim śnie zimowym, z którego obudzi się dopiero po latach. Takie okresy martwoty, które były okresami spoczynku i ugorowania niwy społecznej „po jakiejś wielkiej pożarnej ofierze i wielkim dusz zatraceniu" mieliśmy już w historji naszej po Rewolucji 31 r., po katastrofie 63 r. Wyspiański odtwarzając grobową, niemą rozpacz takiej chwili w scenach „Nocy Listopadowej" zapowiada jednak przyszłą zorzę odrodzenia. Wacław Berent *oziminą* nazwał krwawe ziarna ofiar, jakie burza niedawna rzuciła w ziemię *na posiew przyszłego plonu.* I on wierzy przeto w żywotność naszą. Obaj atoli poeci, ujmując uczuciem i wyobraźnią kolejność przypływów i odpływów energji narodowej, mają na uwadze zwierzchnie tylko pokłady życia społecznego, zatrzymując się na tych jedynie czynnikach, które dotąd grały rolę historyczną. Nie spostrzegli oni, że śród rozłogów naszego życia, już nie od kilku ani kilkunastu lat, ale od szeregu stuleci istnieje rozległa, głucha ozimina — ludu. Przez długie groźne wieki szalał nad nią wicher

---

widzony, rozdzielił duszę i ciało na mą mękę — udrękę i od tej pory w trudzie wlokło się młodzieńcze białe ciało bezduszne. I od tej pory dusza moja rozfalowała się po niebie bezcielesnym obłokiem—jutrzenką. Biedne serce moje zmiażdżył przeciężki głaz. Czyżbyś ty duszo o tym nie wiedziała, zapomniała? Nie wierzę, nie, nie wierzę. — Przypomnij mnie sobie, przypomnij! To ja! Jam to cię znalazł!"

Pod bólem serdecznym schylona córka ogrodnika chciwie dysząc, liljowymi rękoma objęła białe ciało, ni to dziecię małe; jak siostra, w głąb Iwasia spojrzała oczyma rozjaśniałymi od łez, — i jak przewiew wietrzyka westchnienie ledwo dosłyszalne tchnęło z jej piersi: „Przypomniałam — kochanie moje!"

Straszliwa tajemnica legła teraz między nimi.

Słońce zaszło — nad bagniskiem wzdęły się opary. Szara kaczka wrzasnęła żałośnie. A ich, mrokiem lizał spadły, sękaty cień. Nagle — cudna zwróciła swe oczy ku pustkowiu. Władyka wściekły, wzburzoną zielenią wzwyżył się nad pustoszami i wzywał ją, niewolił znów pieśnią szumną, pieszczotliwą — każdziutki listek na rozwianej jego koronie dziwnym powabem szeleścił: „Jakże nie chlusnę ja na was gałęźmi! jakże nie bryznę piaskiem na was! — Nie mojeż to szaty szmaragdami tkane! nie mojaż to korona królewsko rozkonarzona! nie mojeż to łoże wysłane szkarłatnym aksamitem piasków! I dlaczegożeś mnie zapomniała? — poco żeś kochać przestała?!"

A ona, sprężyła się cała zniewolona, chłodnym wejrzeniem cisnęła w Iwasia, nielitościwie odepchnęła precz od siebie: „Nie twojam ja dusza, a jegoć, krzaka zorza!" I na obliczе jej dziecięce idąca z dali wściekłość krzyżowym się kładła stygmatem. A władyka czarował pieśniami, tymi — śpiewanymi zawsze: „Męka cię rwie, chmurą się serce osmęci twe dziewicze, — na mych gałęziach toż jest miejsca dosyć powiesić się, zabujać! Tnę, zatnę białą szyję długą wicią — ah! szkarłat krwi rozemgli jak winem, upoi główkę twą! I dlaczegoś mnie zapomniała? — poco żeś kochać przestała?!"

— „Nie odchodź, nie ulegaj czarom!" — — Jak szalony porwał ją Iwaś i z drogocennym tym ciężarem precz się rzucił od krzaka czarodzieja.

Z pozieleniałym obliczem trzepotała się ona jak dzika pojmana kaczka na rękach Iwasia. — Wyprężyła się, nagle ręce załamała, wygięła, błysła zorzą — na rękach Iwasia świstał tylko lotny wicher...

Pusto było na polach, gdzie padł Iwaś zlewając piasek łzami. Widział on, jak szumny krzak o zorzy tańczył na dalekich pustoszach — —

Nie!!

Nie zorza to była! nie!! — — Z goryczą na biały, rozpalony głaz dziewczę padało pod krzakiem.

A władacz-władyka, jakże on śmiał! Kto pozwolił mu, by ręką, swą suchą ręką z zorzy się naigrawał!

A ona rozpaczała straszliwie.

Lecz nie napróżnoć piękno duszy uśmiechnęło się do Iwasia. Z białym, z białym — skamieniałym licem podniósł się z ziemi i padł na krzak. Potęga

okrucieństwa, nieruchomo ścinał ją mróz ucisku, deptała po niej przemoc; powoli, nieśmiało ta ozimina zaczyna się dzisiaj zielenić i świeżą porasta ruńią. Tu i owdzie błyska już koroną tęczową pierwszy pośród niej kwiat, potym drugi, trzeci. Te kwiaty wprędce stają się chwałą naszej kultury, ozdobą naszego piśmiennictwa. Te kwiaty na imię mają: Kasprowicz, Biegas, Reymont, Przybyszewski, Orkan, Galica. Ich dusze artystyczne najwięcej chłonęły słońca, więc dojrzały najwcześniej.

Atoli tuż w ślad za nimi dźwiga się z roli chłopskiej legjon pracowników społecznych, idą na podbój surowej doli jednostki świeże. mocne, radosne: organizatorzy, oświeciciele, mistrzowie energji, ładu i twórczości.

Ażeby ten proces wyzwolenia przyśpieszyć, aby dzień plonu przybliżyć, jednego tylko potrzeba: słońca! jasnego słońca oświaty — nad oziminą ludu!

Czytelnicy!

W waszej mocy jest dzisiaj słońce to zapalić!

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Nietyle dyplomatyczna odpowiedź Chin na pierwsze „ultimatum" rosyjskie, ile opozycja ministerjów finansów i wojny spowodowała pewne zacisze na Wschodzie, i właściwie można było mniemać, że na tym skończy się na razie ów dość niespodziewany zatarg; ale polityka rosyjska obfituje w niespodzianki, i oto pod wpływem jakby silnego impulsu zgóry — od „prażródeł władzy" jak powiada *Nowoje Wremia* — rząd petersburski wysyła do Chin drugie ultimatum, tym razem zupełnie formalne, żądając niezwłocznego spełnienia swoich postulatów pod groźbą „zerwania stosunków przyjaznych". Jednocześnie wojska, konsystujące w Turkestanie, zbliżają się do Mongolji, gotowe zająć w każdej chwili prowincję Kuldżańską... Zarazem prasa rządowa uderza zgodnie w ton bojowy, w myśl powziętych zgóry wskazówek. Cały Daleki Wschód staje znów w obliczu wojny, która tym razem przewlec się może na długo; poszum nadciągającej burzy zrywa się już na niezmiernej przestrzeni ziem chińskich...

Rzeczą jest jasną, że sprawa rewizji traktatu z r. 1881 go, sama przez się błaha, odgrywa tu rolę pretekstu. Wobec powziętych w Petersburgu decyzji, żadne choćby najbardziej pojednawcze kroki rządu chińskiego nie będą brane w rachubę. Nawet ministrowie rosyjscy, Kokowcew i Suchomlinow, zrazu przeciwni wojnie, muszą skłonić głowy wobec siły wyższej, której rozporządzenia winni spełnić... Życzenia sfer miarodajnych sformułował p. Mienszikow z właściwą sobie jasnością: „Skoro będzie wojna — co nie daj Boże — to musi być zwycięską. Z tą myślą powinniśmy wszyscy zasypiać i wstawać".

Sfery zatym władnące śnią o zwycięskiej a nietrudnej wojnie, która by znów im zwróciła stracony pod Cuszymą autorytet.

Ten wysoce znamienny zwrot w polityce rosyjskiej znajduje się w ścisłym i bezpośrednim związku ze świeżym paktem poczdamskim, na co wszystkie organy opinji zgodny kładą nacisk. Trudno zresztą nie zauważyć tak rażących i wyraźnych kroków, jak rezygnacja Rosji z hegemonji na Wschodzie Bliższym i szybki jej powrót na dawne swoje stanowisko na Dalekim Wschodzie — tym razem w porozumieniu ze zwycięską Japonją, której rola w obecnym zatargu jest zresztą bardzo zagadkowa i rokująca liczne niespodzianki. Zejście Rosji z widowni europejskiej i powrót na Daleki Wschód leży tak widocznie w interesie Niemiec, że nie neguje tego nawet *Nowoje Wremia*...

Sytuację obecną bardzo głęboko i trafnie ujął Milukow w ostatniej swojej mowie z d. 16 b. m., gdzie polityka rosyjska surowej i zasłużonej uległa krytyce. „Ogólny wniosek jest taki — rzekł *leader* kadetów — że w danej chwili nie może być mowy o logicznym, określonym kierunku naszej polityki zewnętrznej. Prowadzimy trzy naraz polityki, wzajemnie ze sobą

---

przemocą zeń się rwała, z piersi się prosiła bezpamiętnie — mocarnie. Z serca jego wyostrzone miecze biły, jak z krużu jarzącego bije dzikim, silnym strumieniem. I niewidzialnym dla oka, niesłyszalnym dla ucha był ten pęd strumienia z serca bohatera, — było to jak błysk rzucony z zwierciadła w przestworze. A gdy na kogo dłoń swą skieruje bohater, w tego się weprze pożarami siła jadowita, wprost piersią o kamień runie bezsilny ptak, z drzewa z wichrami idącego w zapasy opadną liście. — A człowiek?

Pierś pęknie jakby kwasami spalona. Próżno gasząc na piersiach żrący je płomień, popędzi człowiek i padnie. Ot, jaka bohaterska siła tkwi teraz w piersiach Iwasia.

A ona rozpaczała straszliwie.

Krzak go dostrzegł i od cudnej zległej na ziemię odsuwał się bokiem. Nagle, na przełaj ku śmiałkowi się porwał. Lewica, wrząca wściekłą kaskadą zieleni chlasnęła straszliwie o gruzy — rozbryzgała — — — prysła chmura zieleni świstem chłodnym, junackim. Twarz Iwasiowi zieleń zasypała, gdy dzika ona lewica spadła, aż w bólu piekielnym chrupnęło ramię śmiałka. Ledwie że ją pod samym gardłem złowił. — —

W zielonym, rozwianym nimbie wzniósł się krzak.

Z nosem wzgardliwie zadartym, z rozprutą burzami dziuplą ust wzwyżyło się oszalałe lice nad padłym Iwasiem, rozkołysało się szatańsko, zapamiętale.

To ekstatycznie upajał się bojem krzak-władyka:

„Na pana? na króla twego?! jakżeż śmiał ty rabie na króla powstać! Co?!"

I nagle zaskowyczał rozwścieczony, odwalił się zielony kudłacz od bojownika, gdy ten, uroczony prądami swej siły w obronie się podniósł. Tu się użyczyły Iwasiowi chmury ciemne, brzemienne ulewami, przerżnęły nad nim obszary oszczepem — błyskawicą. W locie pochwycił on oszczep i wgryzł się nim z trzaskiem w zadymione oblicze — — nagle ukruszyło się ostrze—iskra, zadrą wszczepiło się w szczękę czarodzieja.

Nie uległ krzak.

Prawicą, potwornie wyciągniętą wwyż, począł kreślić zaklęcia—wezwania, — a lewica żałośnie tuliła zżartą szczękę, broczącą nie krwią, lecz próchnem zgnilizny. —

Spieniły się kurzem dale. — To odsiecz spieszyła królowi, — burza z hordy walecznymi, jak konnica duchów przestworza wstrząsająca.

Ducha nie trać! Nie ulegaj bohaterze!

Okręcać się, wić się począł pod nogami Iwasia maleńki kwiatuszek, lubczyk, — począł czarować jadowitą wonią. I widziało się durnemu, że dziewczę urocze z rozpalonego kamuszka ukradkiem podniosło swe liczko ku niemu, — i zapłonęło liczko żądzą — czarne rzęsy okrążały oczy czarne, — a z pod tych jedwabnych, wilgotnych rzęs płonęły błękitne oczy—węgle.

„Przypomnij że sobie, przypomnij! Toż to ja! ah! ja!"...

sprzeczne, a rezultaty stąd są takie, że... wcale nie mamy polityki. Pośpieszyliśmy uchylić się z linji możliwego zatargu między Niemcami i Anglją. Pytam was, panowie, czy to nas zabezpieczyło od obaw na morzu Baltyckim? Bynajmniej — żądamy wszak wzmocnienia eskadry baltyckiej, wznosimy szańce dokoła stolicy, boimy się najazdu germańskiego bardziej, niż kiedykolwiek. Z drugiej znów strony grzęźniemy beznadziejnie na Dalekim Wschodzie, nie mając gotowego planu ani gruntu i, wszczynając bardzo poważny zatarg, zupełnie nie jesteśmy przygotowani na jego możliwe konsekwencje. Wreszcie, tracimy z oka Bałkany, gdzie właśnie nastąpić może taki moment krytyczny, który się już więcej nie powtórzy.

Panowie! To wszystko skłania mię do smutnego wniosku, że najwidoczniej ponawia się stara taktyka, która nas prowadziła prostą drogą do klęsk wojny japońskiej..."

Jakoż istotnie. okoliczności są dziś te same, co w r. 1904-ym: impuls ze strony Niemiec, optymistyczny pogląd na łatwość podbojów i aneksji, wreszcie — interesy osób wysoko postawionych, posiadających rozległe bardzo dobra na granicy mongolskiej... O ile by doszło do działań zaczepnych, nie ulega na razie wątpliwości, że Mongolja równie łatwo może być zdobyta, jak ongi Mandżurja — i równie łatwo, po latach dziesięciu, stracona... Do szeregu miast i miejscowości o szczególnym i znamiennym brzmieniu, jak Jalu, Wafangou, Laojan i Mukden, przybędą może nowe: Kuldża, Kobde. Cycykar... Historja, zwana nauczycielką ludzkości, udziela jej nietylko lekcji, ale i repetycji — i powtarza je niekiedy po dwa razy.

Na przebieg zatargu wpłynąć zresztą może niespodziewany kryzys ministerjalny, związany z ustąpieniem p. Stołypina, po którym urząd premjera objąć ma dotychczasowy minister finansów. P. Kokowcew, z natury swego poprzedniego urzędu, zmuszony liczyć się z groszem, był stanowczo przeciwny wojnie z Chinami (jak Witte w swoim czasie przeciwny był planom Plewego...). Ale przypuścić można, że wraz z portfelem zmienił i poglądy; w takim razie Rosja wkroczy na pochyłą równię, w myśl przyjacielskich zachęt Berlina i zgodnie z metodą „łatwej" ekspansji, propagowaną przez ciasny i ślepy nacjonalizm.

Listy z Krakowa.

I.

Nowe pisma.

Rok 1911 zasypał nas nowymi pismami o różnym typie i charakterze. Polskie Ateny ze względu na położenie geograficzne, nagromadzone tu siły naukowe i artystyczne, przyciągnąć również muszą siły literackie, a Kraków dzisiejszy pod względem umysłowego ruchu wybił się nietyle może własną zasługą, co z racji specjalnych warunków, na pierwsze miejsce wśród miast polskich.

Tradycja *Życia* nie minęła też bez śladu, bo ono to poprzedziło, a może i wywołało niezapomnianą Chimerę, wykwintny kwiat, niedostrojony do przyziemnych naszych ogrodów, ale tymbardziej narzucający się polskim artystom i poetom, jako ideał dobrego smaku i istotnych wartości estetycznych. *Museion* pod redakcją: Wład. Kościelskiego (Paryż) i Heronima Morstina (Kraków), miesięcznik artyst.-literacki, a przeznaczony dla całej Polski, jest niewątpliwie produktem wyrobionej spokojnej kultury artystycznej, która za pierwsze przykazanie uważa służbę pięknu. Sztuka pojmowana jest przez redaktorów jako całość, płynąca z najtajniejszych głębin instynktu i ducha, której tylko przejawami pojedyńczymi są poezja, muzyka, malarstwo, czy rzeźba. Dla uwydatnienia tego nie nowego, ale jedynie słusznego poglądu, zajmują się już pierwsze numery rysownikiem poetą Pawłem Guiquon i przynoszą koleje życia oraz próbki poezji i rysunków malarza poety Dantego Gabryela Rossetti. Pierwszy numer zapełniły głównie doskonale przekłady, w drugim mamy już twórczość własną. Zwrócić należy uwagę na bardzo udatny dział recenzji, przypominających tonem, lekkością i elegancją wzory francuskie. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia charakterystyki p. Zapolskiej, której twórczość nazwano mezaliansem talentu z trywialnością.

Miesięcznika literackiego i artystycznego (wydawanego przez dr. J. G. Rettingera i A. Rippera) wyszło dotąd dwa numery. O ile Museion przedstawia kosmopolityczny Parnas i olimpijską pogodę, o tyle *Miesięcznik* mniej jest arystokratyczny a zato bardziej żywotny. Na numer lutowy złożyły się utwory Staffa,

---

Strzeż się! Strzeż się, bohaterze!

Z przenikliwym krzykiem wzbił się krzak burzą rwany. Długą wicią ciął mściwie po piasku. Suchym piaskiem wychlasnął oczy...

I noc pomroczna zwaliła się na źrenice bojownika — rozpostarła się nad wszystkim. I tylko w nocy tej biedne czyjeś uczucie nieszczęsne uporczywie walczyło o swą nieśmiertelność...

— — — — — — — — — — — —

Przecież tu ściana! A gdzież to Iwanie Iwanowiczu?

Ach — on znów w gorączce. Przed chwilą przyglądał się plamie na pomarańczowo-zielonej tapecie. Plama ta wydała mu się krzakiem. Więc on widocznie rzeczywiście bardzo chory. Więc, znaczy się, on jest tu nie naprożno w tym pewnym azylu. Więc to wszystko prawda co szepcą tu o nim, a szepcą wiele; chodzą pogłoski, że go spływającego krwią znaleziono pod krzakiem, dokąd uciekł z transportowego więzienia. Tu był on cichy i pokorny. Nikogo nie podjudzał, nie zbierał składek, nie chodził na mityngi, — bojkotował tylko swego lekarza. No, ale popowiedzcież mi, kto tu wierzyłby lekarzom?

Czasem się zapominał i szeptał ciągle o zorzy oswobodzenia. Długie chwile w swym białym szlafroku spędzał pod oknem, bezsilnie wskazywał zorzę przyjacielowi swemu, melancholikowi:

„Jam ją znal, nawet z blizka, lecz wyślizgnęła mi się... Zrozum że pan teraz, dla czegom czerwony".

Pewnego razu odwiedził zakład piękny mężczyzna z liljową plamą oparzenia na policzku; długo rozmawiał z lekarzem, dopytując się o zdrowie Iwana Iwanowicza, lecz ustawicznie się uchylał od osobistego widzenia się: „znałem go w innych okolicznościach, zbyt by teraz było dla nas przykrym spotkać się".

Jednakże przestąpił w końcu próg cichej celi, by uścisnąć rękę choremu. Lecz Iwan Iwanowicz od ręki wyciągniętej cofnął się stanowczo. On, zawsze cichy, surowo rzekł teraz: „Wiedz pan, proszę, żem nie zapomniał o niczem, — przyjdę ja do pana jeszcze, dopnę swego. Proszę mi teraz dać spokój". Długo potym konferował wizytant z lekarzem w przedpokoju.

Przed oknem gmachu rozciągał się plac. Dopiero co przeszedł przezeń tłum manifestantów. Plac pokryły tysiące czarnych głów, a na kupie kamieni stanął człowiek z czerwonym sztandarem. On jakby wskazywał na zorzę. Słów z daleka nie można było rozróżnić. Doleciał tylko frazes: „My was wiedziemy ku szczęściu wiecznemn, ku wiecznej wolności!"

Skończywszy, poprosił słuchaczy, by uczcili poległych bojowników za wolność. I tłum, obnażywszy głowy, zaśpiewał:

Wł. Orkana, Kasprowicza, Leszczyńskiego. Feliks Jasiński drukuje Część II swej Mangghi, a jakkolwiek mówi o szwedzkiej królowej Krystynie, znęca się nad archaicznością akademji naukowych. Krystyna szwedzka bowiem założyła przed śmiercią akademję „dla własnej zabawy", zawsze odznaczała się wszak złośliwością charakteru, a chodziło jej o „dom przedpogrzebowy" dla różnych wielkości. Tak twierdzi Jasiński, który nie uznaje akademji, ale natomiast muzea. A zbiory swoje nazwał muzeum swego istnienia.

Miesięcznik pomimo krótkiego swego istnienia wywołał już polemikę, przykrą tym, że obraca się dokoła uwielbianego imienia Wyspiańskiego, a wynikłą z powodu chęci dokuczenia p. W. Feldmanowi. Ad. Chmiel, archiwista, historyk, znany szerszemu ogółowi stąd, że był serdecznym przyjacielem Stanisława Wyspiańskiego, użyczył *Miesięcznikowi* do druku listów poety z 1904 r. (od 4/II — 29/VIII t. r.) Czy listy te nie wyszły za wcześnie [1]) nie chcę rozstrzygać. W każdym razie wyrządziły one ciężką obelgę zasłużonemu krytykowi literatury, prasa bowiem podniosła z nich żartobliwy wierszyk, dotyczący wykładów Feldmana o Wyspiańskim, wypowiedzianych dla słuchaczów Wyższych Kursów w Zakopanem. P. Feldman musiał się bronić w *Krytyce* (Nr. marcowy), podnosząc słusznie, że stosunki jego z Wyspiańskim właśnie po 1904 r. stały się ściślejsze, a dziś jest współwykonawcą literackiego testamentu St. Wyspiańskiego, wskutek przedśmiertnego rozporządzenia tegoż.

Najbliższy numer *Miesięcznika* poruszy skandaliczną sprawę Muzeum w Rapperswylu, o której pisma krakowskie oprócz *Krytyki* i *Naprzodu* pisać się dotąd nie odważały.

Z początkiem b r. począł również wychodzić *Krakowski Miesięcznik Artystyczny*, organ poświęcony sprawom Muzeum Narodowego, Tow. Przyj. Sztuk Pięknych i Tow. Upiększenia m. Krakowa. Solidarność towarzystw o typie i celach artystycznych, to jedyny dotąd na galicyjskim gruncie przejaw kulturalnego współdziałania, które znamionuje pracę organizacji niepolitycznych na całym Zachodzie, nietylko w Anglji, ale nawet w Wiedniu. Porozumienie towarzystw estetycznych, które w wielu sprawach, jak plany Krakowa, oddanie Barbakanu na Panoramę Styce, sprawa pomnika Kościuszki, wspólnie głos zabierają, skutecznie oddziaływując na przebieg estetycznych spraw w kraju, świadczy, że obrona rodzimego krajobrazu i zabytków, wyrobienie narodowych kierunków w sztuce i t. d., traktowane są poważnie i wyrobionych napotykają koryfeuszów. *Kr. M. Art.* jest dotąd pismem przeważnie informacyjnym, jakkolwiek w dziale Tow. Up. m. Krakowa pojawiło się kilka artykułów programowych.

Młodzież wydaje od nowego roku w Krakowie dwa nowe pisma: abstynenckie *Wyzwolenie*, pod hasłem Miłość — Prawda — Praca, jak głosi tytuł, poświęcone wymaganiom nowoczesnego życia, oraz *Młodzież*, pismo polityczne, bezpartyjne — oba o kierunku niepodległościowym. A więc młode pokolenie za konieczność nowoczesnego życia uważa odrodzenie wewnętrzne, walkę z nałogami, przedewszystkim z alkoholizmem, pielęgnowanie czystej, dla obu płci jednakowej moralności. Kierunek polityczny *Młodzieży* zbliża się do Zjednoczenia, a zatym do N-decji, krytykując klasowy patryjotyzm socjalistów, zastrzega przecież wyraźnie, że służyć nie chce pod sztandarem żadnego stronnictwa.

Od 3 — 4 lat trwa rozłam między młodymi, którzy chcą szukać dróg własnych i stwarzać nowe wartości, a zrzeszeniami starszych, którym względy utylitaryzmu, a bodaj wydatniejszej roboty przystępować każą do istniejących już organizacji. Znamiennym jest przecież, że wskazówki starszych pozostawiły na tej wstępującej w życie młodzieży, ślady bardzo wyraźne, jak świadczy np. rozprawka o Wychowaniu politycznym, gdzie zaznaczony jest wyraźnie pierwiastek nienawiści do wrogów (obcych, czy przekonaniowych?), jako kamień węgielny, na którym budować należy.

Z pism dla młodzieży ubył bardzo dobrze redagowany *Promyk* o kierunku radykalno-postępowym, pozostał zaś *Łan Młodzieży*, pisemko klerykalne.

Na wzór *Miesięcznika*, wydawanego przez Tow. Szk. Lud., powstał organ p. t. *Oświata Ludowa*, głosząc hasła katolicko-polskie. Nad kierunkiem obu tych organizacji i dotychczasową ich działalnością zastano-

[1]) Ogłoszone są podobno wbrew wyraźnej woli zmarłego, i niezgodnie z tekstami oryginału. (Uwagę tę czynię na odpowiedzialność p. W. Feldmana).

„Wyście ofiarą padli w walce"...

Wtedy na balkon dwupiętrowego domu wyszedł człowiek w białym szlafroku (drzwi bo zapomnieli zamknąć). Skrzyżowawszy ręce, cały zatopił się w śpiew, — potym, ukłonił się głęboko (manifestację wziął na swój rachunek).

To był Iwan Iwanowicz. Tłum go nawet nie zauważał. Dziś coraz bardziej zapominał się Iwan Iwanowicz.

W tej chwili właśnie w pełnym samopoczuciu myślał on, że nie naprózno całe swe życie przetrwał w nieustannej walce o wolność, bo zorza jej już jest blizką.

I słodkie, słodkie łzy toczyły się po jego wychudłym obliczu.

Wtym — — moment — — spojrzenie padło na oranżowe tapety z wybijającemi się gdzie niegdzie plamami zieleni.

I tapety wydały mu się rozsypiskami czerwonych piaskowców.

Sanatorjum Korniej Grytiesniejewicza było li tylko snem, w jaki wpadał od czasu do czasu Iwan Iwanowicz...

— — — — — — — — — — — — — —

I znów rozstąpiły się ściany.

Zaczekaj że pan! a gdzież to Iwanie Iwanowiczu?

Lecz podskoczył u nóg łopian pod przelotnym wiatrem, a wkrąg się rozbiegły pola — pola — —

Wiatr tu uczył skakać trawy wiejne, i płatami szkarłatnego aksamitu trzepotały się nad murawą kwiaty ssące motyle.

I widział on krzak, tańczący w wichrze na dalekich pustoszach. Czujnie strzygło jego liściaste, — i suche było oblicze czerwonawe; a korona listowia to milczącą tęsknotą wyżyła się nad płomiennymi piaskami obszarów, wyżyła się brązową, wprost jakby z szyi w niebo rzuconą ręką; — to w zapamiętałej ekstazie pokłonów dłużył się krzak i chylił ku polom z westchnieniami mimowolnymi, — a śpiewał swą liściastą, słodką pieśń o zorzy,

A tam z sondami na ramionach, wieczorem, jak zwykle po wodę, przepływała córka ogrodnika strącając nóżką białą rosy przesłodkie z Matki Boskiej pantofelków.

Kwiatowa roztęcz biła wkrąg — — rumianki się rwały, chyliły dzwoneczków okiście lila, czerwona purpura goździków rozsypywała się na oczach w żarze — — —

KONIEC.

wię się innym razem, uwydatniając, co je dzieli, pomimo jednakowych pozornie celów.

Prasę codzienną pomnożył, bo nie wzbogacił ilustrowany tani dzienniczek (za 40 kop. miesięcznie) *Kurjer Codzienny*.

Na zakończenie tego przeglądu pism nowych zatrzymać się nam trzeba nad kwartalnikiem, poświęconym sprawie więźniów politycznych w państwie rosyjskim, redagowanym pod firmą adwokata krakowskiego, znanego socjalisty, d-ra Zygmunta Marka.

Więzień polityczny, to głos z pod ziemi, wołający o sprawiedliwość do Polski i Europy. A głos to nie wyosobniony, gdyż przemawia w imieniu 180 tysięcy katowanych i zamkniętych. Szczególniej bolesnymi są wyrazy, przytoczone w Słowie wstępnym, a pisane z katorgi: „Trzeba przyznać, że kraj nie pamięta o nas". Łagodny ten wyrzut tym boleśniej odbić się musi w sercach, gdy przesuną się przed nami obrazy Sazonowa, protestującego samobójstwem przeciw karze chłosty, stosowanej dziś ogólnie do politycznych katorżników, gdy się dowiadujemy, że liczba więźniów w katorżnych więzieniach doszła dziś do 28 tysięcy, a z nich niestosunkowo wysoka cyfra przypada na Polaków, że ludzie ci cierpią nietylko przez złe obchodzenie się z nimi, ale z braku powietrza, z głodu i bezczynności, skazującej ich na całe lata ponurej, samotnej, przeplatanej jedynie cierpieniem i upokorzeniami, wegetacji. Przeciwstawiono temu szyderczą i cyniczną mowę Markowa II w Dumie petersburskiej. Znacie ją czytelnicy prawdopodobnie lepiej niż my tu w Galicji i wiecie, że masowe samobójstwa na katordze uważa on za objaw pomyślny, kończący wreszcie życie tych, których należało już wiele wcześniej powiesić.

Wobec ponurej litanji ofiar konstytucyjnego systemu rządowego, jakże blado przedstawia się organizacja pomocy więziennej. Najstarszą organizacją jest „Zagraniczny Związek pomocy dla ofiar politycznych" (dawny czerwony krzyż), istniejący od 1908 r. Do więzień w Królestwie przesłał on w 1909 r. zaledwie 1266 franków.

W ostatnich jednak czasach zainteresowanie się sprawą niesienia pomocy dla więźniów politycznych w Rosji wzmaga się. Komitety i Związki ratunkowe powstały w Anglji, w Nowym Yorku, w Paryżu (drugi, zajmujący się wyłącznie katorgą), Brukselli, Antwerpji, Lozannie i Genewie.

Związek pomocy więźniom politycznym w Krakowie zajmuje się w pierwszym rzędzie zesłanymi na katorgę, a poza tym wogóle pomocą więźniom politycznym, bez względu na ich przynależność partyjną. Podobne organizacje potworzyły się już w Wiedniu, we Lwowie, Zakopanem, Lipsku i Zürichu. Może przeto nie usłyszymy już bolesnej skargi, że kraj i ludzkość zapomina o tych nieszczęśliwych.

Dr. Z D. Golińska.

BADANIA NAUKOWE

Władysław M. Kozłowski: **Historja filozoficzna powstania i rozwoju idei podstawowych umysłowości współczesnej** Tom I. Część I. Inicjatorzy i punkt wyjścia. Wydawnictwo Kasy Mianowskiego. Skł. gł. w księgarni Arcta. Warszawa 1910, str. 243.

Ostatnia ta praca prof. Kozłowskiego dzieli się na dwie księgi. W pierwszej — na 90 stronicach — autor uzasadnia oryginalny tytuł swojego dzieła, w drugiej — wykłada doktrynę Saint-Simona i Comte'a.

Wolałby pominąć milczeniem księgę pierwszą i zadowolnić się daniem rady czytelnikowi, aby ją opuścił. Każda praca ludzka, nawet najbezużyteczniejsza, zasługuje na szacunek i przykro jest wykazywać jej bezużyteczność. Jednak twarde są obowiązki sprawozdawcy...

Autor wklucza w zakres swego tematu „wszystko to, co z doktryn dawniejszych lub świeższych żyje jeszcze w umysłowości współczesnej", natomiast wyklucza z niego „te doktryny dawniejszych wieków, lub nawet mniej dawne, które chociaż i mają licznych wyznawców — są martwym zesztywniałym dogmatem". Już samo to założenie doskonale cechuje metodę autora, który zawsze daje nam jako rzecz dowiedzioną to, co dopiero dowieść należy. Doktryna, która ma dzisiaj licznych wyznawców, bądź co bądź żyje „jeszcze" w umysłowości współczesnej, więc trzeba ją prześwietlić i dowieść, że zanika lub powinna zaniknąć. Jako punkt wyjścia do badania doktryn „jeszcze żywych" autor bierze rok 1830-ty i stawia XIX-emu wiekowi dwa zagadnienia do rozstrzygnięcia: „w zakresie teoretycznym — wyrobienie jednolitego poglądu na świat, osnutego na wiedzy pozytywnej, w zakresie praktycznym — rozwiązanie wielkiego zagadnienia społecznego, ujawniającego się w formie najogólniejszej jako przeciwstawność indywidualizmu ze społecznością". Cała ta formuła jest najzupełniej dowolna: pozytywizm nigdy nie zrzekał się dawania wskazań praktycznych, a wskazania te dotyczyły nietylko „zagadnienia społecznego" w jego zwykłej postaci, lecz i zagadnienia walki ludzkości z naturą, inaczej powiedziawszy—techniki. Dział myśli ludzkiej, mający na celu ujarzmienie natury i zmuszenie jej do działania na korzyść człowieka — nie interesuje zupełnie autora. W „praktycznym" zagadnieniu antytezy jednostki ze społeczeństwem zupełnie nie wiadomo o co autorowi chodzi, jest to zagadnienie odwieczne i można je badać w jego historycznym rozwoju. W XIX-ym wieku należałoby zanalizować i sprowadzić do tych dwóch pierwiastków wszystkie doktryny socjalne, ideje filozoficzne, prądy religijne, oraz wykazać, które z nich kładą większy nacisk na jednostkę, które zaś na ogół. Zagadnienie to jest — zresztą, jak każde zagadnienie — jednocześnie praktyczne i teoretyczne. Dziwny dualizm autora niczem się nie tłomaczy, tymbardziej, że znów autor zupełnie go nie motywuje.

Następne dwa rozdziały są zatytuowane: przygotowanie historyczne zagadnienia *praktycznego* i przygotowanie historyczne zagadnienia *teoretycznego*. Pierwszy zawiera pobieżny zarys historji filozofji greckiej, historji chrześcijaństwa i odrodzenia, oraz streszczenie dzieł Jana Jakóba Rousseau; w drugim rozdziale autor przechadza się w podobny sposób wśród myśli scholastyków średniowiecznych i filozofów nowożytnych. Nic nie usprawiedliwia ani tytułów tych rozdziałów, ani ich niezmiernie luźnej treści, którą w dodatku autor podaje w formie pseudo-naukowej nieprzystępności. Myślą przewodnią ma tu być sprowadzenie całego życia społeczno-politycznego ludzkości do walki jednostki z ogółem (co autor w sposób bardzo nieścisły określa niekiedy, jako „przeciwstawność indywidualizmu z socjalizmem"), oraz sprowadzenie wszystkich idei filozoficznych do pluralizmu i uniwersalizmu, które mają być filozoficzną transpozycją indywidualizmu i socjalizmu. „Praktycznymi" mają być wszystkie te kierunki filozoficzne, społeczne i religijne, w których przeważa strona uczuciowa. „Teoretycznymi"—gdzie przeważa rozum. Otóż, aby umotywować całą tę dziwaczną klasyfikację, należałoby uprzednio dowieść tego, czego nawiasem powiedziawszy psychologja wcale nie twierdzi, a mianowicie, że rozum i uczucie wykluczają się wzajemnie; następnie zaś oprzeć całe dowodzenie na podstawach socjologicznych, zobrazować swoją myśl na tle zmieniających się etapów ewolucji; a głównie — wprowadzić kryterjum doświadczalne. Bez tych uzupełnień mamy taki schemat myślowy:

ideje bywają praktyczne i teoretyczne. Praktyczne są uczuciowe, teoretyczne — rozumowe. Praktyczne uczuciowe dzielą się na indywidualistyczne, które są złe i na socjalistyczne, które są dobre. Teoretyczne rozumowe dzielą się na pluralistyczne i uniwersalistyczne. Pluralistyczne są złe, uniwersalistyczne — dobre; jest to jednak zło i dobro niejako drugorzędne, bo praktyka zależy od uczucia...

To jest poprostu naiwne!

Z uczuciem ulgi wkraczamy w ekspozycję doktryny Saint-Simona. Autor poprzedza ją biografją, która robi wrażenie zbyt powieściowe po karkołomnych ogólnikach pierwszej księgi. Jednak i wykład doktryny Saint-Simona nie jest wolny od nieścisłości. Gide i Rist w swojej „Histoire des doctrines économiques" oddają jedną z podstawowych myśli S-t-Simona w takim zdaniu „c'est une administration *des choses* dont nous avons besoin, au lieu d'un gouvernement des hommes" (str. 240). U p. Kozłowskiego ta sama myśl przybiera taką postać: „społeczeństwo powinno być rządzone przez *zasady*, nie zaś przez ludzi" (str. 118). Sam Saint-Simon wygłasza tę myśl jeszcze inaczej: l'ordre social doit avoir pour unique objet l'action des hommes sur les choses" (Oeuvres t. IV str. 81) i w innym miejscu „dans l'état actuel des lumières ce n'est plus d'être gouvernée dont la nation a besoin, c'est d'être administrée et d'être administrae au meilleur marché possible" (Système industriel, Oeuvres complètes t. V str. 151, cytowane z „Doktryn"). Przepraszam czytelnika za te cytaty francuskie, które w dodatku zostawiam bez tłomaczenia. Pojęcie „administrowania rzeczami", kierowania pewnymi funkcjami socjalnemi, niezbędnymi dla funkcjonowania całości, jest to co innego, niż pojęcie „rządzenia przez zasady". S-t-Simonowi nie chodzi o wpojenie kultu dla jakichś zasad, lecz o podporządkowanie osoby kierownika danej funkcji społecznej potrzebom samej tej funkcji, która z kolei powinna być wykonana „au plus grand bonheur du plus grand nombre", ku zwiększeniu dobrobytu i kultury jaknajwiększej ilości jednostek.

Wszakże wogóle poglądy S-t-Simona są wyłożone poprawnie. Jego pogląd na społeczeństwo, jako na olbrzymi warsztat pracy, przy którym niema miejsca na próżniaków; jego kult dla pracy, a specjalnie dla pracy w dziedzinie wielkiego przemysłu, jego historja, streszczająca się w myśli, że dzieje są zmianą panowania klas zależną w pierwszym rzędzie od ich użyteczności dla ogółu; jego plany przyszłej organizacji socjalnej, utopijne, lecz oparte na racjonalnym ideale wytworzenia niedziedzicznej arystokracji inteligencji i charakteru — wszystko to przesuwa się przed naszemi oczami w książce p. Kozłowskiego, dając zupełnie dokładne wyobrażenie o umysłowości S-t-Simona. Autor całkiem trafnie dowodzi również, że przesunięcie punktu ciężkości zadań państwa z dziedziny czysto politycznej w dziedzinę ekonomiczną, nakreślenie państwu roli przedsiębiorstwa i przemysłowca, słowem wprowadzenie nietylko zasady prawnej interwencji państwa, lecz i tendencja do uczynienia państwa czynnikiem produkcji — odróżniają Saint-Simona od ideologów XVIII-go wieku i zawierają w sobie zarodki przyszłych idei. Niemniej S-t-Simon, przez swoją zbyt jednostronną „ekonomiczność", niedocenia wartości postulatów czysto politycznej demokracji, wskutek czego polityczna forma jego idealnych organizacji przybiera charakter oligarchji lub oświeconego absolutyzmu.

O ile, u samego S-t Simona, społeczeństwo jest warsztatem o zróżniczkowanych funkcjach socjalnych, wzajemnie współzależnych, a kierownictwo tymi funkcjami zależy od zdolności kierowników i od ich użyteczności dla ogółu, — o tyle u uczniów S t-Simona, u Bazard'a i Enfantin'a sprawa podziału dóbr staje na gruncie abstrakcyjnej sprawiedliwości. Jest to stanowisko religijne, z którego Saint-simoniści konsekwentnie wytworzą istotną religję, zasklepią się w zamkniętej gminie wyznaniowej, oddzielą od ogółu i zamieszkają razem, w majątku ziemskim Enfantin'a, urządzonym na zasadach komunistycznych. Autor w sposób niezmiernie barwny opisuje to zdziwaczenie doktryny Saint-Simona, aczkolwiek zamało kładzie nacisku na związek, zachodzący pomiędzy dziwacznym życiem Saint-simonistów a tym pierwiastkiem utopijnym, jaki wprowadzili oni do doktryny mistrza.

Ostatni rozdział jest poświęcony biografji i doktrynie Augusta Comte'a, „ojca" socjologji i twórcy pozytywizmu. Comte posuwa dalej myśl St. Simona o społeczeństwie, jako o splocie zjawisk współzależnych, tworzy słynną klasyfikację nauk w porządku rosnącej komplikacji i zmniejszającej się ogólności zjawisk (matematyka, astronomja, fizyka, chemja, biologja, socjologja), twierdzi, że skoro wszystkie zjawiska ujmujemy w pewne prawa, to musimy tak samo traktować zjawiska społeczne, i nakreśla niektóre prawa socjologiczne, ze znanym prawem trzech stanów ewolucji (teologiczny, metafizyczny i pozytywny) na czele. Nie może tu być oczywiście mowy o analizie, a choćby tylko i o dokładniejszym streszczeniu doktryny Comte'a, która stała się ogólnym dorobkiem naukowym. Możemy najwyżej, wraz z p. Kozłowskim, wyrazić żal, że niema żadnych tłomaczeń dzieł Comte'a w języku polskim.

Prof. Kozłowski eksponuje doktrynę Comte'a bez zarzutu, lecz ocenia ją jednostronnie. Ocena ta właściwie pozwala nam sformułować własne poglądy autora, które zwykle bywają chwiejne i nieuchwytne. Dowiadujemy się zatym, że „dzisiejsi badacze przyjęli przeciwstawność dwóch wielkich działów umiejętności (przyrodniczej i humanistycznej)". Czyż prof. Kozłowski istotnie nie wie, że socjologja dzisiaj właśnie wciąż robi coraz większe postępy i że badania nad społeczeństwami zwierzęcymi i życiem ludów pierwotnych wciąż wlewają nową treść w genialnie pomyślaną klasyfikację nauk Comte'a, uzupełniając brakujące ogniwa? Autor koniecznie chce wszystko przeciwstawić rewolucjonizmowi (str. 216). Czyż tak? Niedawno prezydent najmłodszej republiki w Europie ogłosił urbi et orbi, że rewolucja portugalska została dokonana w imię ideałów pozytywistycznych, które wymagają używania środków gwałtownych tam, gdzie ich użycie może doprowadzić do celu, a środki ewolucyjne zastosować się nie dadzą. Równie niesprawiedliwie autor napada na rzekomy „dogmatyzm" pozytywizmu, który nie ma nic wspólnego z dogmatami religijnymi, lecz dąży jedynie do wykrycia praw, rządzących społeczeństwem. Równie dobrze możnaby w takim razie Newton'owskie prawo ciążenia nazwać „dogmatem" Newtona. Wreszcie w końcowych stronnicach swej pracy—autor analizuje Comte'owską „religję ludzkości", przesiąkniętą najgłębszym humanitaryzmem i nieustanną troską o wszechstronne uszczęśliwienie i udoskonalenie człowieka. Nie przeszkadza to jednak autorowi znów odsunąć pozytywizm od „zagadnienia praktycznego", stwierdzić, że „nie na drodze rozumowej szukać należy sposobów odtworzenia lub spotęgowania więzi społecznej", żałować, że „mędrkujący teologowie" zbrukali „szczere i prawdziwe uczucie chrześciańskie", wogóle pragnąć, aby nowy religijno-uczuciowy prąd odrodził ludzkość.

Nie mogę się z tym wszystkim zgodzić. „Przeciwstawność" rozumu i uczucia jest w najwyższym stopniu sztuczna. Może być popularną w kraju analfabetów, lecz budować na niej nic nie podobna. Uczucie bez rozumu i rozum bez uczucia nic są nie warte, a o obydwóch mówić nie można, o ile się nie wprowadza czynnika woli, który je łączy, stapia i przekuwa w doświadczenie, w czyn, będący nowym motywem uczuć, aktów woli i rozumowań.

Szkoda, że do analizy umysłowości współczesnej prof. Kozłowski przystępuje z umysłem tak mało współczesnym, a jednocześnie goniącym za sensacjami nowości.

Karol Łodzia.

NA DOBIE.

Ciepłe nastroje.

Rzecznicy narodowych praw Izraela, apostołowie żargonu i autonomji koszernej, obwołujący z ferworem śmierć asymilizacji i zupełne odrodzenie żydowstwa — zapewne nie czytują gazety *Der Moment.*

Wziąwszy zaś do ręki to miarodajne pismo, przekonaliby się rychło, jak chętnie garnie się lud żydowski do ścisłego obcowania nawet z tymi sferami, które w żaden sposób nie mogą być pomówiono o jakąkolwiek dlań sympatję; nic tu jednak nie znaczy ani norma procentowa, ani strefa osiedlenia, ani wreszcie reminiscencje Kiszyniowa, Odesy, Kijowa i Homla. Jak potężne są dziś prądy pojednawcze wśród żydów, świadczy następujący obraz, pełen sielankowego wdzięku i ciepłego nastroju:

W tych dniach w jednej z warszawskich szkół handlowych specjalnie przeznaczonej dla żydów, odbyło się purymowe przedstawienie w języku rosyjskim, przyczym, jak donosi *Moment*, podczas uczty — chrześcijański dyrektor szkoły, rz. r. st. Rożdziestwienskij, w swym toaście („l'chaim"), spełnionym winem palestyńskim, wyraził życzenie, ażeby dzieci żydowskie, które się wychowują pod jego nadzorem, wychodziły ze szkoły dobrze wychowane i jako ludzie i jako żydzi w znaczeniu religijnym i narodowym".

Z pośród pozostałych głosów wyróżnił się bardzo dowcipny toast chrześcijańskiego nauczyciela religji, rz. r. st. Rozanowa, który powiedział, że podczas purymu żydzi zachowują się tak samo, jak rosjanie, „pod względem pijaństwa". Po uczcie grano i śpiewano żydowskie pieśni ludowe, tańczono żydowskie tańce i t. d. Uroczystość, na której panował ciepły nastrój narodowy, przeciągnęła się do rana".

Tytułem ścisłości musimy dodać, że wystarczy lekki bodaj kontakt nacjonalizmu żydowskiego z polskim krytycyzmem by ten „ciepły nastrój" przeszedł w lodowatą oziębłość. Jednemu z oddziałów Tow. Kultury Polskiej wymówiono lokal za urządzenie odczytu p. t. *Zasady religji żydowskiej*; dotknięty bowiem niemile tym aktem „antysemityzmu" właściciel domu uciekł się do represji względem *Kultury Polskiej*, której założyciele i członkowie nie mogą się poszczycić ani rangą rzeczywistych radców stanu, ani przestrzeganiem normy procentowej dla żydów, ani pogromami, jakkolwiek *Nowa Gazeta* innego jest zdania.

A propos.

Nowa Gazeta przypisała nam niedawno „jakieś oportunistyczne względy taktyczne" wobec prądów „antysemicko-postępowych". W odpowiedzi staraliśmy się wyjaśnić p. Kempnerowi, że walka z tymi prądami nie jest ani wyłącznym sprawdzianem postępu, ani jedynym jego zadaniem, ze względu choćby na cały szereg innych spraw palących i ważnych, bezpośrednio z naszym bytem związanych.

Nowej Gazecie nie w smak poszło to oświadczenie; organ p. Kempnera tonem podrażnionym pomawia nas o „sumienie nieczyste" i brak odwagi. Wątpi nadto, czy istotnie, poza kwestją żydowską, istnieć mogą w Polsce „sprawy palące i ważne" i domaga się ich wyszczególnienia.

Apostrofy tego rodzaju wyglądają dziwacznie na szpaltach organu, który stale przemilcza różne ujemne fakty życia żydowskiego, wskutek czego ogół polski dowiaduje się o nich wyłącznie ze źródeł antysemickich...; który nie miał nigdy słowa potępienia dla przerażającego wstecznictwa żydów i „antygoizmu" pewnych odłamów, natomiast chciałby kraj cały zmobilizować do walki „asemityzmem postępowym", pod własną oczywiście komendą.

Niemniej niewłaściwym jest zarzut „oportunizmu i względów taktycznych" ze strony organu, który jest przecież wyrazem kompromisów, najdalej wysuniętych ku żydowskim placówkom wyznaniowym i zachowawczym.

Zasług *Nowej Gazety* bynajmniej zresztą nie zapoznajemy.

Nowa Gazeta zdobyła się na najlepiej w Warszawie redagowany dział giełdowy, ma również całkiem niezły dział literacki. Byłoby jednak pożądanym ażeby w innych swych działach nie ograniczała się wyłącznie niemal do zwalczania „antysemityzmu postępowego", nadomiar za pomocą metod i taktyki, które jedynie mogą się przyczynić do istotnego skonsolidowania luźnych dotychczas jednostek, kierunek ten reprezentujących, w osobną grupę.

Koniec Inkwizycji.

Wiadomości marjawickie podały ostatnio — szkoda, że bez przytoczenia źródeł — ciekawą bardzo notatkę „o zniesieniu inkwizycji hiszpańskiej", spisaną własną ręką głównego uczestnika tych wydarzeń, które zaszły, jak wiadomo, w r. 1809-ym wskutek dekretu Napoleona. Otóż bezpośrednim wykonawcą dekretu był Polak, pułk. Lumunuski (nazwisko przekręcone) dowódca 9-go pułku lansjerów, co można sprawdzić, mając pod ręką dane, dotyczące składu legjonów polskich w Hiszpanji.

Ów pułkownik spisał swoje wrażenia, niestety, dość niewprawnie, językiem i stylem bynajmniej nie wykwintnym, czego zresztą nie można mieć za złe żołnierzowi, który pozatym ujawnił wiele uczuć szlachetnych...

Niezwłocznie tedy po wydaniu wspomnianego dekretu, rodak nasz, dobrawszy jeszcze do pomocy 117-ty pułk piechoty francuskiej pod dowództwem de Lille'a, z tymi siłami otoczył gmachy Inkwizycji w Madrycie i po krótkiej utarczce, lansjerzy polscy pierwsi wdarli się do środka...

Tu zauważyć trzeba, że Edgar Poe wybrał motyw zupełnie podobny dla jednego z tych wstrząsających opowiadań, w których celował („*Studnia i wahadło*")...

Po długim i mozolnym szukaniu — pisze pułkownik polski — żołnierze moi wykryli tajemne zejścia do lochów, mieszczących więzienia i kaźnie Inkwizycji... Co za widok! „Trupy leżały tam aż do rozkładu, podczas gdy cele obsadzano innymi więźniami". Żeby uniknąć zaduchu „urządzono dostatecznie długie rury, odprowadzające odór gnijących ciał. W tych celach znaleźliśmy szczątki kilku ludzi niedawno zmarłych, podczas gdy indziej leżały szkielety, przykute łańcuchami do ziemi".

„W niektórych celach znaleźliśmy żywe jeszcze ofiary różnego wieku i płci, od młodzieńca i dziewczyny, do 70-letniego starca; wszyscy byli nadzy zupełnie... Moi żołnierze rozkuli łańcuchy i nakryli więźniów własną odzieżą...

W ciągu dalszych poszukiwań natrafiono namiejsce kaźni, a w nim „wszelkie narzędzia tortur" na jakie chyba szatańska, a nie ludzka fantazja zdobyć się mogła... „Na ten widok wściekłość naszych żołnierzy nie dała się utrzymać w szrankach". Krzyczeli, że każdy z inkwizytorów musi być z kolei poddany męczarniom, które sam tylekroć zadawał. „Nie próbowaliśmy ich powstrzymać" wyznaje pułkownik, do żywego snadź poruszony świadectwem tylu zbrodni... Żaden z mnichów hiszpańskich, pojmanych w tym

gmachu, nie wyszedł żywcem z rąk Polaków — mścicieli odwiecznej krzywdy.

Wieść, że wyswobodzono wielu więźniów Inkwizycji, rozeszła się piorunem. „Zbiegli się tutaj wszyscy, którym św. Officjum wydarło w ostatnim czasie przyjaciół i krewnych. O, jakie tu było powitanie! Około 100 osób zamurowanych od szeregu lat, zwrócono teraz społeczeństwu. Wielu znalazło tu synów, córki, braci. Wielu, niestety, nie poznało swoich kochanych. Te sceny jednak nie dadzą się opisać"...

Autor, żołnierz widać sumienny, chciał „dokończyć dzieła w zupełności". Podłożył tedy pod zręby przeklętego gmachu potężne ładunki prochu. „Tysiące uważnych widzów obserwowało, jak podłożyliśmy ogień. Mury i wieże tego potężnego budynku runęły w gruzy. Inkwizycja przestała istnieć."

Ostatni zadała jej cios ręka polskiego żołnierza—patrjoty, którego nazwisko we właściwym brzmieniu należałoby koniecznie ustalić, bo zapisanym być winno chlubnie na kartach kultury wszechludzkiej.

Dziś, coprawda, radziby nasi zachowawcy dźwignąć z gruzów gmachy św. Oficjum i zwrócić je Hiszpanji, przepraszając za czyny praojców — masonów. ale i Hiszpanja już tego daru nie przyjmie.

Mobilizacja klerykalna.

Bawił tymi dniami w Warszawie hr. Henryk Badeni, syn marszałka Galicji, poseł na Sejm, prezes *Towarzystwa imienia Piotra Skargi*. Stoi on na czele nowego ruchu społeczno-katolickiego, którego cele, w rozmowie ze współpracownikiem *Słowa*, określa w ten sposób:

„Głównym ośrodkiem naszego ruchu jest Lwów, gdzie powstał niedawno specjalny organ Towarzystwa im. Skargi, mianowicie *Kronika Powszechna*, której redaktorem jest sprowadzony z Warszawy p. Teodor Jeske-Choiński.

— Organizujemy wokoło niego najlepsze pisarskie siły katolickie w Polsce, a musimy się pochwalić,że pomiędzy siłami tymi *sporo liczymy profesorów uniwersytetu* (podkr. nasze).

Mamy już koła studenckie, gimnazjalne i robotnicze. Studentów uświadomionych w naszym kierunku posiadamy do sześćdziesięciu, robotników kilkuset: w gimnazjach tworzymy kółka przy pomocy nauczycieli. Najmniej pomyślnie prosperuje koło Krakowskie. W każdym razie początki są zachęcające". .

Mamy więc do czynienia z nowym aktem różnicowań społecznych i to aktem doniosłej miary. Wytwarzanie specjalnie „katolickich" ośrodków propagandy na ziemiach polskich, będąc najnowszą fazą naszej ewolucji, rozsiewa bardzo skutecznie myt o zupełnej tożsamości czynników narodowych i konfesyjnych. Gdy niedawno powstało w Galicji stronn. „Prawicy narodowej" powitaliśmy je przychylnie, jako najlepszy dowód, że na ziemiach polskich stronnictwa *lewicy narodowej* zyskały prawo obywatelstwa.

Takie same prawo mają ligi Wolnej Myśli i Wolne Gminy obok towarzystw imienia Piotra Skargi... A ponieważ życie współczesne coraz wymowniej akcentuje przewagę kultury świeckiej nad wyznaniową, przeto patrzymy w przyszłość pełni otuchy mimo „zachęcających początków" akcji hr. Badeniego w Galicji.

Jeszcze jedna uwaga. Kiedy wśród młodzieży krakowskiej powstała studencka filja Tow. Etycznego, wówczas *Kurjer Warszawski* uderzył w dzwon alarmu, demaskują ze zgrozą „krakowskie wolnomularstwo..."

A jezuickie *Tow. im. Skargi* zakłada filje swoje nietylko po wszechnicach, ale i po gimnazjach, pod egidą i ze współdziałem galicyjskich rad pedagogicznych... *Nous en prenons l'acte...*

Medice cura te ipsum!

Wystąpienia Tow. literatów i dziennik. w sprawie funduszu Kasy strażackiej przeciwko Ludwikowi Fryzemu, laurów Towarzystwu nie przysporzą. Podkopały one gruntownie autorytet Towarzystwa, jako sądu obywatelskiego w sprawach, związanych z etyką. Metody, używane w walce przeciwko L. Fryzemu przez niektórych menerów towarzystwa wywołały uczucie obrzydzenia nawet wśród ludzi dla nich skądinąd najżyczliwiej usposobionych.

Jak wykazał sąd arbitrów przy Tow. Kultury Polskiej, całe zachowanie się Ludwika Fryzego w sprawie opieki nad funduszem strażackim było zupełnie bez zarzutu. A nie był to sąd bynajmniej pobłażliwy. Wytknął on z całą bezwzględnością nawet drobne uchybienia *zmarłego* Feliksa Fryzego, pomimo, że wskutek tych uchybień fundusz strażacki nietylko nie poniósł uszczerbku, ale wykazał przyrost prawie o tysiąc rubli większy, niż gdyby był *lege artis* na procent składany, w poważnej instytucji złożonym.

W postępowaniu jednak Ludwika Fryzego sąd nie znalazł nawet formalnego uchybienia. Bo i cóż można było zarzucić Ludwikowi Fryzemu? W kilka tygodni po śmierci swego stryja Feliksa Fryzego, z rzadkim u nas pośpiechem złożył z odpowiednią adnotacją w Tow Wzajemnego Kredytu tę część funduszu strażackiego, która figurowała na rachunku procentowym w *Kurjerze Porannym* i wezwał najprzód ustnie a potym piśmiennie Warsz. Tow. Ubezpieczeń, ażeby dokonało obrachunku funduszu strażackiego, przejęło opiekę nad nim i zajęło się utworzeniem kasy strażackiej. Do innych działań w tej sprawie, jak słusznie stwierdza sąd tow. arbitrów, p. Ludwik Fryze nie był ani upoważniony, ani powołany. Jeżeli kto tu zawinił, to Warsz. Tow. Ubezpieczeń, którego dyrektor, p. Andrzej Świętochowski na posiedzeniu inicjatorów kasy strażackiej był wybrany razem ze ś. p. F Fryzem na współopiekuna funduszu. Dlaczego p. Świętochowski o tym zapomniał? Dlaczego Tow. Ubezpieczeń zwlekało blizko 2½ lat z odebraniem funduszu? o tym Zarząd tow. liter. i dzien. mógł się dowiedzieć od swego członka p. L. Grendyszyńskiego, który będąc równocześnie sekretarzem jeneralnym Warsz. Tow. Ubezpieczeń, doskonale znał stan sprawy.

Wobec oczywistych faktów, że pieniądze były złożone w Tow. Wzajem. Kredytu nawet w Zarządzie tow. lit. i dzien., złożonym prawie wyłącznie z osobistych i politycznych wrogów Lud. Fryzego, musiało ustalić się przekonanie, że p. L. Fryze jest w zupełnym porządku. Zaświadczył o tym publicznie p. Straszewicz. Czynił podobne zwierzenia osobom trzecim i wiceprezes tow. lit. i dzien., p. Lorentowicz. Rzecz, zdawało się, była zupełnie wyczerpana... Aliści zaszła nowa okoliczność. Zarząd tow. lit. i dzien. niepomny na to, że nie ma do tego żadnych kwalifikacji, chciał zostać bezapelacyjnym trybunałem opinji publicznej — chciał uzurpować sobie prawo sądzenia wszystkich literatów i dziennikarzy polskich nawet bez ich zgody i wezwania, bez względu, czy są członkami towarzystwa czy nie. Cała prasa postępowa, oprócz *Nowej Gazety*, której redaktor naczelny znalazł się w Zarządzie, zrozumiała tkwiące w tym niebezpieczeństwo dla dziennikarstwa postępowego i to nietylko ze względu na to, że większość członków Zarządu Tow. dzien. i lit nie cieszyła się ani dostateczną powagą, ani niezbędnym dla sędziów, zupełnym zaufaniem ogółu, ale przedewszystkim dlatego, że większość Zarządu endecko-klerykalna gdyby władzę sądzenia posiadła, nadużywałaby jej w celach gnębienia tą drogą prasy postępowej...

Najenergiczniej, — może zbyt energicznie—wystąpił przeciwko uroszczeniom Towarzystwa *Kurjer*

Poranny. Zarząd Tow. lit. i dzien. nie zdobył się na zimną krew i spokój, tak niezbędne dla kompletów sądzących... Członkowie Zarządu, jak przyznaje p. Straszewicz, stracili panowanie nad sobą i wpadli w gniew, który zawsze jest złym doradcą. I stała się rzecz brzydka. Wiceprezes Tow. rzucił publicznie potwarczą insynuację, przeciwko L. Fryzemn, a *Kur. Warsz* ją rozgłosił; obecni na zebraniu człon. Zarządu zsolidaryzowali się z nią, pomimo, że niektórzy z nich jak p. Straszewicz, sami przyznali się, że byli zdania, iż p. Ludwik Fryze był w zupełnym porządku. Każdy, kto mówił przeciwko Fryzemu, przyjmowany był burzą oklasków na sławetnym zebraniu Towarzystwa d. 9 maja 1910 r. Nawet p. Gabryel Kempner bodaj po raz pierwszy w życiu spotkał się z salwą oklasków, kiedy przemówił.

Minęło pół roku. Kiedy sąd arbitrów przy T. K. P. wyświetlił prawdę, dla oszczerców nieprzyjemną, organy prasy w Zarządzie Tow. lit. i dziennikarzy reprezentowanej, które pomieszczały sążniste oszczerstwa — uważały za etyczne milczeć o wyroku. Zaledwie kilka pism go podało i to poniekąd wskutek artykułów *Prawdy* z tego powodu. W jednym z nich wykazaliśmy zupełną kompromitację w tej sprawie wiceprezesa tow. lit. i dzien. (*Prawda* Nr. 2 i 4 r. b.)

Myśleliśmy, że towarzystwo na tym poprzestanie i kompromitować się w tej sprawie nie zechce. Omylilismy się. „Członkowie Zarządu tow. lit. i dzien. z ubiegłego roku 1909/10" nie dali za wygraną; rozesłali do wszystkich pism „wyjaśnienie".

W dokumencie tym nie ma już wzmianki o inwektywach, miotanych na znanym posiedzeniu majowym rozgniewanych dziennikarzy i literatów. Uspokoiwszy się i ochłonąwszy, członkowie zarządu Tow. dziennik. i lit. z roku ubiegłego w gruncie rzeczy uznali wyrok sądu arbitrów przy T. K. P. i oświadczają, że p. Ludwik Fryze wywiązał się poprawnie z opieki nad funduszem strażackim, ale starają się równocześnie dowieść, że jest to właśnie zasługą Zarządu Tow. dzien. i literatów, że zmusiło swoim „moralnym wpływem" Ludwika Fryzego do zwrotu funduszu, pomimo ustalenia przez sąd Kultury faktu, że dwa lata przed tym fundusz strażacki znajdował się w całości (prócz drobnej reszty, wykazanej przy ostatecznym obrachunku) w pierwszorzędnej publicznej instytucji i że zwłoka w ostatecznym dokonaniu obrachunku i odbiorze sumy przez Warsz. Tow. Ubezpieczeń wynikła z powodów bądź przypadkowych, bądź formalnych od woli i chęci Ludwika Fryzego niezależnych.

Na zakończenie, ponieważ Zarząd tow. lit i dz. zastosował się do dobrej rady, udzielonej mu przez prasę postępową i zrzekł się ferowania wyroków przeciwko niečzłonkom towarzystwa, ośmielamy się podać jeszcze jedną radę, ażeby, jeśli nie uważa za właściwsze, zrzec się niewdzięcznej roli kontrolera moralności literatów polskich, rozpoczął akcję etyczną od siebie i zechciał wytłumaczyć niektórym swoim członkom:

1) że popieranie oszczerczych insynuacji choćby pośrednio jest rzecza brzydką nawet wtedy, kiedy czyni się to względem wrogów i konkurentów,

2) że udział w sądzie etycznym ludzi, którzy przez sąd honorowy przekonani zostali, że lekkomyślnie rzucają zarzuty, których później nie dowodzą, jest niewłaściwy,

3) że obniża powagę instytucji sądzącej sprawy honorowe udział w niej osób, mających za sobą praktykę *czynną i bierną* bądz w policzkowaniu bądź w okładaniu bliźnich kijem.

Jesteśmy przekonani, że gdyby w porę zastosowano się do tych uwag, to komplet sądzący w Tow. lit. i dzien. zmniejszyłby się znacznie, ale autorytet moralny orzeczeń Zarządu Tow. nie byłby tak gruntownie zachwiany w opinji publicznej.

Red.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Potrzeba sanacji.* Niesumienność, prywata, drobiazgowość. sobkostwo, i warcholstwo — odwieczne plagi naszego życia — wybitny znajdują wyraz w układzie i psychologji pism warszawskich. Stosunek wzajemny tych organów — to stosunek wrogich potęg, albo zawistnych klik i koterji. Żaden organ warszawski nie reprezentuje całokształtu naszego życia; każdy oświetla znikomą jego część pod specyficznym kątem, którego za żadną cenę nie rozszerzy. O żadnej wspólnej inicjatywie, o żadnym współdziałaniu pod hasłem ogólnego dobra mowy być nawet nie może. Czyny i giesty naszej prasy są sprzeczne, bezładne i chaotyczne; rywalizacja poszczególnych pism przekracza często dozwolone granice, wyrządzając tym szkodę niezmierną naszej kulturze politycznej i umysłowej. Nic wymowniejszego w tej mierze, jak sposób prowadzenia rubryki *Z prasy*, jednej z najważniejszych w publicystyce. Próżno szukałby tam kto ścisłego odbicia bieżącej opinji, treściwych a objektywnych wskazówek natury informacyjnej... Jedne pisma wspominają o innych tylko wtedy, kiedy mają sposobność dokuczyć im i dopiec; inne nie wspominają z zasady. Warszawskie redakcje posiłkują się w tej mierze wyłącznie systemem szkieł wklęsłych i wypukłych, które dają karykaturalne, złośliwe odbicia. Niema *przeglądu* prasy, jest tylko kłótliwa, intencjonalna *polemika*, pełna potwarzy i niedomówień. Nasz teren dziennikarski — to dżungla, pełna gadzinowych syków i niepokojących poruszeń.

Na konieczność sanacji tych stosunków zwrócił uwagę *Dzień.* Pismo to nie należy bynajmniej do wzorowych co do formy i sympatycznych co do treści. Tym nie mniej, w imię sprawy nas wszystkich obchodzącej, musimy zwrócić uwagę na wystąpienie w pomienionych piśmie p. Stefana Gorskiego, który omawia „*Przyczyny bierności publicystycznej*" w naszej prasie i główną odpowiedzialność zwala na metody *Kurjera Warszawskiego*, organ ten bowiem uprawia z przejęciem system *przemilczania* pism konkurencyjnych lub niezależnych.

> Czytelników sugestjonuje się więc stale, że w Warszawie właściwie prasy nie ma, jest za to „Kurjer Warszawski"...
>
> Na tym punkcie sprawiedliwość przyznać każe, że „Kurjer" wykazuje zasady stałe i przekupny nie jest. Za żadną cenę nie przyjmie ogłoszenia, nawet najlepiej płatnego, o istnieniu jakiegoś pisma codziennego w Warszawie. „Kurjer" ma jednak swoje zasady!
>
> Wychowywany przez parę pokoleń w kulcie dla „Kurjera", czytelnik warszawski wierzy mu ślepo. Poczciwy warszawiak nie zna nawet dobrze tytułów wszystkich pism warszawskich, bo mu „Kurjer" o tem nie mówi. Gdzieś z boku od kogoś, dowiaduje się dopiero, że „Goniec" poruszał sprawę magistratu, a „Dzień" walczy z nacjonalizmem żydowskim, że „Gazeta Warszawska" pomieściła szereg artykułów Rusticusa o wsi polskiej, a „Dziennik Powszechny" występował przeciwko ortodoksji klerykalnej; „Słowo" i „Kurjer Polski" radzili przerwać bojkot uniwersytecki. O tym wszystkim poczciwy czytelnik „Kurjera Warszawskiego" nic nie wie, bo mu pismo jego nic nie donosi, uważając te fakty za nieważne, w każdym razie mniej ważne od paru pożarów na Nalewkach i nieszczęśliwego wypadku z koniem o złamanej nodze.
>
> „Kurjer Warszawski" prowadzi wprawdzie rubrykę „Z prasy". Znaleźć w niej można wymienione tytuły pism niemieckich, tureckich, chińskich, japońskich, perskich, ale o naszych — grobowe milczenie!
>
> Ach... przepraszam. Prawda! cytowane są tam i pisma polskie. Trzeba być ścisłym Np. można się tam spotkać z wyjątkami z „Przeglądu felczerskiego", „Sztuki Bronzowniczej", „Rolnika i Hodowcy", „Ogrodnika Polskiego",

„Gazety Lekarskiej“, „Przyjaciela Zwierząt“, „Dobrej Gospodyni“, i dla wyjątku czasami (dwa razy do roku) ze „Słowem“ (bo jest najmniejszym konkurentem) i rzadziej (raz do roku) z „Gazetą Warszawską“ (bo to w każdym razie organ stronnictwa, które choć już... ale kto wie może znów kiedyś, niewiadomo...)

Co piszą i jak piszą inne gazety warszawskie, tego czytelnik z „Kurjera“ nie dowie się za żadne pieniądze. „Kurjer Poranny“, „Goniec“, „Nowa Gazeta“, „Dziennik Powszechny“, „Dzień“ — nie istnieją.

Obrońcy tych metod powiedzą na to, że wszędzie jest to samo, że prasa zagraniczna nie różni się w tym względzie od naszej. Otóż różni się i bardzo nawet dodatnio.

Przegląd prasy prowadzą wszystkie pisma europejskie. Rubryki te należą wszędzie do najpoczytniejszych. Dzienniki paryskie weszły nawet w takie porozumienie ze sobą, że wymieniają się przed wyjściem numerów odbitkami korektowymi swoich artykułów wstępnych. Tym sposobem, wyjątek w innych pismach ukazuje się jednocześnie z oryginałem w danym piśmie.

W ten sposób czytelnik francuski, znajdując oświetlenie każdej kwestji w artykule wstępnym swego dziennika, jednocześnie w trzeciej kolumnie ma treściwy i skondensowany przegląd całej wszechstronnej opinji kraju, od krańca do krańca, w urywkach i cytatach kilkuwierszowych, podanych bez komentarzy. Obok partyjnego zatem stanowiska istnieje i rozwija się poczucie ogólne, stały kontakt z myślą narodową, świadomość wszystkich jej odmian, czyli staje się zadość pierwszorzędnej potrzebie współżycia i współmyślenia wszystkich obywateli danego kraju.

U nas, gdzie ta potrzeba stokroć jest bardziej konieczna, owo współżycie i współmyślenie zgoła nie istnieje. Niesumienne i zawistne stronnictwa i ich organy żywią swoich stronników własnemi tylko preparatami, usuwając im od ust wszelki „obcy“ pokarm, z wyjątkiem nieznacznych i odpowiednio polemicznie przyrządzonych strzępów i ochłapów. Skutek tego jest taki, że czytelnik polski chadza po widowni politycznej jak ślepy koń w kieracie, albo, w najlepszym razie, przysłonięte ma jedno oko — z prawej lub lewej strony. W tych warunkach opinja nasza wobec najogólniejszych nawet kwestji zdradza rażącą jednostronność. Te same jednak partje i organy, co wszelkich dokładają starań, by myśl polską na strzępy podzielić i w różne rzucić strony — czynią od czasu do czasu zgiełkliwe nagonki w kierunku „solidarności“ i „spójni“ narodowej, gdy zaczej należy ogółowi uprzystępnić i ułatwić wszechstronną i ścisłą orjentację w sprawach naszego bytu. Aby jednak cośkolwiek w tym kierunku czynić, trzeba kres położyć rutynie, jaka się gnieździ w redakcjach pism warszawskich, trzeba te stosunki uzdrowić.

* „Jedną więcej bolączką“ jest zdaniem *Gońca* nowa kolej Herby — Kielce, która w tych dniach zaczęła funkcjonować. Umyślny delegat *Gońca* poddał nową arterję ruchu ścisłej i surowej krytyce, i oto jego wnioski:

W Częstochowie niema wcale dostępu do stacji, wjadukty pobudowano niedbale ze starego żelaza, wszystkie dworce odznaczają się nadzwyczajną ciasnotą, ani jedna stacja nie posiada peronu, o ubikacjach, należących do wygody publicznej, niema nawet mowy, wszędzie wyszrubowana do ostatnich granic harmonja tandety i niedbalstwa.

„W dniu otwarcia ruchu osobowego zamiast oznak radości słyszałem powitania w rodzaju: „ażeby ich djabli wzięli z takimi porządkami!“

Słowem — po swojsku, jakkolwiek kolej znajduje się w obcych rękach.

Koncesjonarjusze skarg tych nie słyszą. Prezes rady zarządzającej sławetnej kolei, p. Józef Berlin, syn Mojżesza, mieszka w Petersburgu, gdzie również mieści się rada, więc naszych potrzeb odczuć nie może i nie chce. Zabezpieczeni gwarancją rządową 4 i pół procentową, pragną jedynie powiększyć swoje zyski i dlatego nie dają należytych wygód publiczności, oraz wyznaczają zbyt niskie płace wszystkim bez wyjątku, tak niższym, jak i wyższym funkcjonarjuszom kolejowym.

Gdy jednak *Goniec* wszelką odpowiedzialność zwala na Józefa, syna Mojżesza, Berlina, musimy ze swej strony nauważyć, że lepsza taka kolej, niż żadna. Różni pp. Berliny świetne robią zawsze interesy tam, gdzie kapitał ospały, tchórzliwy i gnuśny, kryje się po bankach, zamiast pełnić misję cywilizacyjną, a gdy się do niej zabiera, to nad wszelki wyraz nieudolnie. W chwili zaś obecnej arystokracja nasza posiada w bankach zagranicznych najmniej 100 miljonów rb. gotowizny, jak twierdzi jeden z finansistów warszawskich.

* 50-lecie niepodległości włoskiej uświęcił *Kurjer Warszawski* sążnistym artykułem, pełnym rozgłośnych haseł z dawnej przeszłości i zakończonym tymi słowami:

Włoski jubileusz jest więc i dla nas świętem, które w piersiach budzi niezapomniane wspomnienia z przed lat pięćdziesięciu. Jako synowie tych, którzy nie szczędzili krwi za wspólną wszystkim ludom sprawę, ślijmy dziś za Alpy braterskie pozdrowienie, wnosząc okrzyk z przed pół wieku:

Evviva l'Italia una, indipendente, libera!

W chwili, kiedy Watykan zarządził ogólną żałobę, a prasa klerykalna zohydza na wszelki sposób ideał niepodległych i demokratycznych Włoch — ten okrzyk bluźnierczy, zuchwale rzucony ze szpalt *Kurjera Warszawskiego* fatalne musiał zrobić wrażenie. Można się spodziewać, że redakcja, zorjentowawszy się w położeniu, przywdzieje szaty pokutne i pójdzie do Canossy — swoim zwyczajem.

* Hipolit Korwin-Milewski, brat „hrabiego“ J. Karola, w liście otwartym, ogłoszonym w pismach warszawskich, wyparł się wszelkiego z nim duchowego powinowactwa, zaś Milewski Drugi—bo tak go zwać należy dla uniknięcia pomyłki—nadsyła do tychże pism sążniste repliki niepraktykowaną dotychczas drogą, bo przez komitet cenzurowy. Z tych inseratów dowiadujemy się, że „Hrabia“ na zjeździe „zjednoczonej szlachty“ w Petersburgu przemawiał we własnym imieniu, nie zaś w imieniu szlachty litewskiej, co redukuje wygórowaną jego rolę do właściwych granic i czyni zbytecznymi wszelkie protesty i deklaracje w tej sprawie zarówno ze strony Koła Polskiego, jak i ziemian litewskich. Słusznie zwraca na to uwagę *Kurjer Poranny*, traktując indywidualne popisy Milewskiego II ze sporą dozą sarkazmu.

Gdyby istotnie każda zmiana narodowości podobnych rycerzy miała być podnoszona do znaczenia zjawiska politycznego, moglibyśmy w bliskiej przyszłości dojść do wcale zabawnych absurdów. Gdyby naprzykład przyszło takiemu szlachcicowi nabyć... z okazji wkroczenia wojsk rosyjskich do Kuldży dobra ziemskie w nowej prowincji państwa, po ich wycofaniu mógłby uznać za konieczne proklamować się np. ...„chińczykiem o polskiej kulturze“...

W całej tej sprawie jeden jeszcze punkt pozostał niewyjaśniony: Milewski II, jest, jak się okazuje, posiadaczem nietylko tytułu papieskiego, ale i wyspy na morzu Adryatyckiem. Niewiadomo, czy indywidualny swój akces rozciąga „hrabia“ i na tę udzielną posiadłość, która w takim razie może stać się zarzewiem groźnego zatargu pomiędzy Rosją, Austrją i Włochami.

* Ostatni numer *Myśli Niepodległej* znów obfituje we wzory nieokiełznanej „fantazji“ polemicznej p. Niemojewskiego, który niesłusznie skarży się na swoje odosobnienie, ponieważ czyni wszystko, by pustkę dokoła siebie wytworzyć... Ostatnie p. Niemojewskiego „rewelacje“ o P. Z. P. i Tow. Kultury Polskiej, pod każdym względem typowe, omówione będą w najbliższym numerze *Prawdy*.

Prasa polska na Litwie.

Życie -- organ, wychodzący we Lwowie pod redakcją Gustawa Daniłowskiego, — w artykule p. Leona Wasilewskiego podaje szczegółowy obraz stopniowego rozwoju prasy naszej na Litwie. Aż do roku 1905-go perjodyczna prasa polska nie istniała tam zupełnie skutkiem zakazu z czasów Murawjewa. „Ponieważ zaś,—pisze autor artykułu, — cenzura warszawska zwracała baczną uwagę na wszelkie objawy łączności Królestwa z krajem zabranym, przeto wiadomości z Litwy w dziennikach warszawskich były nader szczupłe albo też zgoła świeciły nieobecnością. Jedynym pismem polskim, mogącym uwzględniać życie Litwy i jej społeczeństwa polskiego, był *Kraj* petersburski, który też stał się faktycznym organem pewnych grup polskich z Litwy i Rusi.

Ale *Kraj* był tygodnikiem, wobec czego nie mógł zastąpić pism codziennych. Ponieważ zaś pisma codzienne z Warszawy nie mogły dawać wiadomości najbardziej obchodzących społeczeństwo polskie na Litwie, przeto prenumerowano z reguły dzienniki rosyjskie. Nie tylko liberalne *Nowosti* lub *Birżewyja Wiedomosti*, ale i polakożercza *Nowoje Wremia*, zwłaszcza zaś tani *Swiet* Komarowa, szerzący idee najobskurniejszego panslawizmu, posiadały mnóstwo prenumeratorów Polaków na Litwie.

Polskie masy ludowe — chłopskie i robotnicze — niemal zupełnie były pozbawione lektury perjodycznej. *Gazeta Świąteczna* i *Zorza* szerzyły się potrochu w czysto polskiej części Grodzieńszczyzny i gdzieniegdzie po miastach.

Dopiero klęski Rosji w wojnie z Japonią i ruch rewolucyjny zniósł zakazy murawiewoskie i oto w r. 1905 powstaje po 40-letniej z górą przerwie pierwszy dziennik polski w Wilnie — *Kurjer Litewski*. Koncesję nań otrzymał dzięki wpływom osobistym Hipolit Korwin-Milewski, ugodowiec najskrajniejszy. Przez całe pół roku prawie *Kurjer Litewski* był jedynym przedstawicielem prasy polskiej na Litwie. Dopiero po po manifeście „konstytucyjnym" z dnia 30-go października 1905-go roku, zdobytym na skutek jeneralnego strejku kolejowego, upada dotychczasowa bezwzględna niewola w państwie rosyjskim i — w rezultacie — społeczeństwo polskie na Litwie otrzymuje możność rozwijania własnej prasy.

Natychmiast obok *Kurjera Litewskiego* powstają jeszcze trzy dzienniki polskie: *Nowiny Wileńskie* — klerykalno-demokratyczny organ biskupa Roppa; *Gazeta Wileńska* — organ postępowców o zabarwieniu litwofilskim i *Dziennik Wileński*, o kierunku narodowo-demokratycznym. Samo się przez się rozumie, że Litwa nie była w stanie utrzymać aż czterech dzienników, to też *Nowiny* i *Gazeta* niebawem upadają, na placu zaś pozostają dwa dzienniki, z których *Kurjer* pomimo paru zmian osób wydawców, stale reprezentuje kierunek krajowo-ugodowy, gdy *Dziennik* staje się organem narodowych demokratów.

Rok 1906-y przyniósł pierwsze na Litwie legalne pismo „poświęcone sprawom klasy robotniczej", mianowicie tygodnik *Echo*, które w roku następnym wychodzi jako *Topór*. Prawie jednocześnie z upadkiem *Topora* poczyna w Wilnie wychodzić tygodnik „Wiedza". To ostatnie pismo przetrwało dotąd, przyjmując w końcu nazwę *Nowe Życie*.

W roku 1907-ym zjawiło się pierwsze na Litwie polskie pismo humorystyczne *Plotka Wileńska*, która rychło doczekała się licznych współzawodników czy to w postaci jednodniówek satyrycznych czy to w postaci pism *Bomba* i *Wilnianka*, powstała w r. 1909-m. Represje zmiotły z widowni wszystkie te *Plotki*, *Bomby* i t. d., ale zabić prasy humorystycznej nie potrafiły.

W r. 1908-ym powstał miesięcznik dla młodzieży *Pobudka* o kierunku narodowo-demokratycznym. W roku 1909-ym zjawia się *Słowo* i *Czyn* — „dla wszystkich dobrej woli i szukających prawdy", wydawany przez ks. St. Miłkowskiego w duchu mesjanisto-klerykalno-panslawistycznym. Rok 1910 przynosi *Dwutygodnik archidjecezjalny* — zawodowy organ duchowieństwa i trzeci dziennik—brukową *Gazetę dwugrosze*, który odrazu stanął na bardzo poważnej podstawie masowej prenumeraty miejskiej.

Do pism perjodycznych należy bezwarunkowo zaliczyć wychodzący od r. 1907 *Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie*, mieszczący prace naukowe i materjały historyczne, archeologiczne, etnograficzne i t. d. Innym organem, pokrewnym ze względu na swe zadania *Rocznikowi*, jest założony w r. 1910 *Kwartalnik Litewski* (wydawnictwo, poświęcone zabytkom przeszłości, dziejom, krajoznowstwu i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant), wychodzący wprawdzie na razie w Petersburgu, ale mający być niebawem przeniesiony do Wilna. Jest to okazale wydawany grubymi zeszytami organ, rzetelnie służący badaniu naszych zabytków na Litwie.

Poza wymienionymi dotychczas, pism wychodzi jeszcze jedno — polskie, co prawda, z języka (bardzo zresztą niepoprawnego, aż do efektów humorystycznych), ale z ducha swego antypolskie. Jest nim ukazujący się od roku 1908-go dwutygodnik *Litwa* -- organ skrajnego nacjonalizmu litewskiego.

Rok bieżący przyniósł znaczny wzrost prasy polskiej w Wilnie. Powstał mianowicie ilustrowany a żywo redagowany *Tygodnik Wileński*, zjawiły się też dwa pisma fachowe: *Ruch Spółdzielczy*, który wychodził dotychczas jako dodatek do obydwóch starszych dzienników, wyodrębnił się zupełnie i stał się samodzielnym miesięcznikiem — *Życie Spółdzielcze*. Założony został jednocześnie *Tygodnik Rolniczy*.

Pominąwszy pisma naukowe i *Nowe Życie*, będące, właściwie mówiąc, przeznaczone głównie nie na Litwę, całą prasę wileńską można podzielić na dwa odłamy: ugodowy i narodowo demokratyczny. Należy jednak pamiętać, że skutkiem specjalnego położenia polskości na Litwie i ugodowcy i narodowi demokraci polscy w tym kraju posiadają pewne cechy swoiste, wyodrębniające ich od analogicznych żywiołów w Polsce rdzennej. Narodowi demokraci polscy na Litwie są bezwarunkowo mniej reakcyjni od swych towarzyszy w Królestwie lub Galicji. Ugodowców litewskich cechują pewne sympatje do ruchu narodowego Litwinów i Białorusinów. Silnie zaznaczona katolickość obydwóch obozów polskich zbliża je ze sobą tak samo, jak słabe zróżniczkowanie społeczne inteligencji polskiej, z której obydwa obozy czerpią swych przywódców.

Obóz postępowy nie posiada swego organu i zapewne długo nań trzeba będzie czekać wobec słabości liczebnej postępowców polskich na Litwie i ich wewnętrznego rozbicia. To też masy polskiej ludności robotniczej i chłopskiej wraz z tą częścią białoruskiej i litewskiej, która ciąży do kultury polskiej, oddane są niepodzielnie na pastwę bądź klerykalizmu ugodowego, bądź nacjonalizmu endeckiego".

KRONIKA.

POLSCY BADACZE NA OBCZYŹNIE. Ciekawy przyczynek do dziejów myśli polskiej, pracującej w usłudze obcych krajów znajdujemy w numerze 22 *Génie Civil* 21 stycznia 1911, który w sprawozdaniach z posiedzeń paryskiej akademji nauk pomieszcza 3 notatki następującej treści:

Aeronautyka. Zależność pomiędzy siłą popędową śmigła w ruchu a tąż siłą przy śmigle umiejscowionym. (Rélation entre la poussée de l'helice propulsive en marche et la poussée au point fixe) — note de M. *Ziembiński* présentée par M. J. Violle).

Botanika. Nowe źródło kauczuku naturalnego (Une source nouvelle de caoutchouc naturel. — note de M. Jean *Dybowski*, presentée par M. Guignard).

Chemja fizyczna. Własności elektryczne stopów glino-magnezjowych (Les propriétés électriques des alliages aluminium-magnesium. Note de M. *Witold Broniewski*, presentée par M. H. Le Chatelier).

Na 5 sprawozdań z paryskiej Akademji Nauk, 3 przypadają na Polaków. Smutne to, że praca Polaków, nie znajdując zastosowania w kraju, wzbogaca obce narody i tym pogłębia ich panowanie ekonomiczne nad Polską.

V ODDZIAŁ TOW. K. P. W lokalu Tow. prawniczego odbyło się w sobotę ogólne roczne zebranie członków V oddziału Tow. Kultury Polskiej, na które przybyło około 90 osób.

Po zagajeniu obrad przez p. Edwarda Potępskiego i obraniu na przewodniczącego adw. Stanisława Leszczyńskiego — odczytane zostało sprawozdanie z działalności oddziału za rok 1910.

Wykazuje ono, że V oddział Tow. Kult. Pol. w roku 1910 jak i poprzednio rozwinął swą działalność głównie w kierunku urządzania odczytów. V oddział dbał o rozmaitość i obfitość urządzanych odczytów, zarówno w Filharmonji, jak w lokalu własnym i w lokalach innych. Działalność odczytowa oddziału obejmowała trzy głównie dziedziny: przyrodniczą, społeczną i historyczno-literacką.

Ogółem w 1910 r. słuchały 10,602 osoby 183 odczytów i pogadanek przyrodniczych, 7,749 osób 77 odczytów — społeczno-politycznych; 6,084 osoby 40 odczytów historyczno-literackich.

Razem 300 odczytów i pogadanek słuchało 24,435 osób.Stosunek liczby członków do niecziónków wśród słuchaczów wynosił 45. proc.

Rozwijając działalność odczytową w wymienionych, dziedzinach, V oddział starał sie o dostarczanie swym członkom innych jeszcze środków, i sposobności dla rozszerzenia i pogłębienia swych wiadomości. A więc członkom, w których już dojrzała potrzeba gruntowniejszego zajęcia się wybranym przedmiotem, dawano możność urzeczywistnienia tej dążności przez urządzanie dyskusji wśród członków. Praca ta odbywała się w sekcyach, z których były czynne ekonomiczna, historyczna i literacka. Dla bezpośredniego poznania arcydzieł literatury, urządzano czytanki literackie. Na miesięcznych zebraniach dyskusyjnych, dostępnych dla ogółu członków poruszane były kwestje, mające związek z zadaniami instytucji.

Dla osiągnięcia swych celów pod względem rozpowszechnienia wiedzy i kultury estetycznej, oddział urządzał zbiorowe zwiedzanie wystaw przy udziale odpowiedniego kierownika.

Biblioteką, przekazaną oddziałowi przez b. Uniwersytet dla Wszystkich, a złożoną z depozytów i książek własnych tej instytucji, na zasadzie decyzji Komisji likwidacyjnej b. Uniwersytetu dla Wszystkich w porozumieniu z zarządem V oddziału rozporządzono w następujący sposób: 1) depozyt książek historycznych i literackich, własność p. H. Radlińskiej z Krakowa, zwrócono właścicielce na jej żądanie; 2) depozyt książek ludowych zgromadzonych przez „Księgarnię Polską”, zwrócono na żądanie na ręce p. J. Sikorskiej; 3) 924 dzieła treści naukowej w 968 tomach z książek własnych b. Uniwersytetu dla Wszystkich przekazano Towarzystwu Czytelń m. Warszawy dla Centralnej Czytelni naukowej Towarzystwa.

W końcu roku sprawozdawczego oddział posiadał członków 503, w tym 374 mężczyzn i 129 kobiet; w ciągu roku ubyło 96 członków — przybyło 167.

Sprawozdanie to przyjęto. Z odczytanego przez p. Marję Rotwandową sprawozdania kasowego wynika, że stan finansowy instytucji jest dość pomyślny, bowiem rok 1910 zamknięty został przewyżką 377 rb. dochodów nad wydatkami, natomiast projekt budżetowy na rok 1911 przewiduje przewyżkę wydatków nad dochodami w sumie 600 rb.

Sprawozdanie kasowe i projekt budżetu zatwierdzono.

Następnie wywiązała się badrdzo długa i ożywiona dyskusja na temat działalności oddziału, przyczym wyrażono życzenie, aby zarząd jaknajusilniej starał się przenikać do mas, wśród których budzi sie coraz bardziej chęć zdobywania wiedzy i dążenia do światła.

Wyjaśnień udzielili pp.: Krzywicki, Łypacewicz, Potępski, Kruszewski i Rotwandowa.

Notatnik wydawniczy.

Informator Warszawski. Pod tym tytułem ukazał się na mieście numer okazowy czasopisma w czterech językach: polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim, które, jak głosi zapowiedź Redakcji, będzie wychodzić dwa razy tygodniowo i rozdawane będzie bezpłatnie podróżnym na kolejach, w hotelach, cukierniach i resteuracjach.

„Informator” poprzedza „Słowo Wstępne”, działy Informacyjny i Adresowy, oraz opisy zabytków Warszawy robi wrażenie pisma poważnie traktującego swoje zadanie i niewątpliwie odda niemałe usługi cudzoziemcom oraz turystom coraz częściej odwiedzającym gród nasz.

Redaktorem i wydawcą „Informatora” jest p. Teodor Więckus.

Ster. Treść zeszytu II-go: A jednak jest nieśmiertelną!... Marja Gierżabkowa. — Wielka reformatorka, J. J. — Marja Martin, Redakcja. — Ubezpieczenie macierzyństwa, Jerzy Kurnatowski. — Zanik odwiecznej kobiecóści (dok.), tłum. R. Pachucka. — Z pewnego domu, Antoni Langer. — Akcja wyborczyń lwowskich, W. — Odezwy: Stow. kobiet pracujących w handlu i biurowości; Stow. umysłowo pracujących Polek. — W sprawie osobistej. P. Kuczalskiej-Reinschmit. — Odezwa Komitetu Jubileuszowego. — Zebranie Ogólne Tow. Kółek im Staszica, Uczestniczka. — Zapowiedź Zebrania Ogólnego Związku równouprawnienia kobiet polskich. — Organizacja gospodyń, M. Z. —Komunikat. — Przegląd prasy równouprawnienia. — Książki nadesłane do Redakcji.— Odpowiedzi Redakcji. — Ofiary. — Od Administracji. — Dodatek powieściowy: Kobiety, które wołanie dosłyszały

Życia, tygodnika politycznego, społecznego i literackiego wyszedł zeszyt XI (24) z dn. 11 marca r. 1911. W. Lis, prowadzący w piśmie tym stale dział polityki zagranicznej, omawia ostatnie uchwały delegacji austro-węgierskich i stanowisko Polaków, potępiając popieranie zbrojeń morskich, wiążących się z polityką zgubną ze stanowiska Austrji i szkodliwa dla interesów polskich. Zbrojenia te są wynikiem usłużności względem Niemiec i zamiarów wrogich względem Włoch; przesunięcie w tym kierunku punktu ciężkości polityki zagranicznej Austrji świadczy o wyrzeczeniu się myśli wojny z Rosją. A. Leliwa powraca do smutnej sprawy opłakanej gospodarki w Muzeum Rapperswilskim, omawiając skandaliczne zmarnowanie 4000 druków, zbytych przez hurtowną sprzedaż za bezcen prywatnemu handlarzowi. Dr. Al. Lisiewicz pisze o budżecie miasta Lwowa, nawołując opinję światlejszych sfer społeczeństwa do żywszego udziału w sprawach samorządu największego miasta polskiego, posiadającego urządzenia autonomiczne. Silne wrażenia wywiera na czytelniku przytoczony list zesłańca—Polaka z gubernji Irkuckiej; przypisek redakcyjny zapowiada utworzenie się polskiego towarzystwa pomocy dla więźniów i zesłańców politycznych. S. Auerbach kończy swe zajmujące informacje o rewolucji lizbońskiej. W dziale literackim znajdujemy impresję Arymana—Pozdrowienia z Polski (jest to obrazek z życia tułaczy polskich na zachodzie) — oraz z powodu 50-tej rocznicy zgonu Szewczenki przekład jego dumy przez cenionego poetę i tłumacza Sydira Twerdochliba; dział z prasy polskiej oraz „Silwa rerum” dopełniają treści zeszytu. Redakcja *Życia* zawiadamia, że z powodu konfiskat zmuszona jest przerwać druk powieści Gustawa Daniłowskiego p. t. „Marja Magdalena”.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.